

Tytuł oryginalny
THE OLD MAN AND THE SEA

Okładkę projektował
ALEKSANDER STEFANOWSKI

Copyright 1952 by Ernest Hemingway

Printed in Poland
Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu, Warszawa 1967 r.
Wydanie szóste. Nakład 100 000 + 152 egz. Ark. wyd.
32. Ark. druk. 8,5. Papier druk. sat. kl. IV, 60 g.
Format 70x90/32 cm, z Fabryki Papieru w Kluczaku.
Druk z matryc zakończono we wrześniu 1967 r.
Koszalińskie Zakłady Graficzne w Koszalinie
Nr zam. D-350 — W-4
Cena zł 5.—

Był starym człowiekiem, który łowił ryby w Golf-stronie pływając samotnie łodzią, i oto już od osiemdziesięciu czterech dni nie schwytał ani jednej. Przez pierwsze czterdzieści dni pływał z nim pewien chłopiec. Ale po czterdziestu jałowych dniach rodzice oświadczyli mu, że stary jest teraz bezwzględnie i ostatecznie *salao*, co jest najgorszą formą określenia „pechowy”, i chłopiec na ich rozkaz popłynął inną łodzią, która w pierwszym tygodniu złowiła trzy dobre ryby. Smucilo go to, że stary co dzień wraca z pustą łodzią, więc zaw sze przychodził i pomagał mu odnosić zwoje li nek albo osek i harpun, i żagiel owinięty dookoła masztu. Żagiel był wyłatany workami od mąki, a zwinięty wyglądał jak sztandar nieodmiennej kleśki.

Stary był suchy i chudy, na karku miał głę bokie bruzdy. Brunatne plamy po niezdolnym raku skóry, występującym wskutek odbłasku słoń ca na morzach tropikalnych, widniały na jego po liczkach. Plamy te biegły po obu stronach twa rzy, a ręce miał porane głębokimi szramami od wyciągania linką ciężkich ryb. Ale żadna z tych szram nie była świeża. Były one tak stare jak erozje na bezrybnej pustyni.

Wszystko w nim było stare prócz oczu, które miały tę samą barwę co morze i były wesołe i niezłomne.

— Santiago — powiedział do niego chłopiec, kiedy wspinali się na stromy brzeg od miejsca, gdzie stała kóż wciągnięta na piasek. — Mój-

byłm znów z tobą popłynąć. Zarobiliśmy trochę pieniędzy.

Stary nauczył chłopca łowić ryby i chłopiec go kochał.

— Nie — odrzekł stary. — Jesteś na szczęśliwej łodzi. Zostań z nimi.

— A przypominaj sobie, jak kiedyś przez osiemdziesiąt siedem dni nie złapałeś ani jednej ryby, a potem przez trzy tygodnie łowiłszy co dzień takie wielkie.

— Pamiętam — odpowiedział stary. — Wiem, że nie dlatego odszedłeś ode mnie, żeś zwątpił.

— Tata kazał mi odejść. Jestem jeszcze mały i muszę go słuchać.

— Wiem — rzekł stary. — To całkiem normalne.

— Bo on już nie bardzo wierzy.

— A nie — powiedział tamten. — Ale my wierzymy, prawda?

— Tak — odparł chłopiec. — Mogę cię poczęstować piwem na Tarasie? Potem zabierzemy rzeczy do domu.

— Czemu nie? — powiedział stary. — Między rybakami...

Siedzieli na Tarasie i wielu rybaków podkpiwało ze starego, ale on się nie gniewał. Starsi patrzyli na niego i robili im się smutno. Jednak nie pokazywali tego po sobie i rozmawiali uprzejmie o prądzie i o głębokości, na jaką zapuścili linki, i o tym, że pogoda się ustaliła, i o wszystkim, co widzieli. Ci, którym powiedło się tego dnia, już wrócili, wypatroszyli swoje marliny i ponieśli je rozciągnięte na dwóch deskach — a pod końcami każdej ugięto się dwóch ludzi — do składu ryb, gdzie czekały na samochód-łodnie, który miał je zabrać na targ do Hawany. Ci, co złowili rekiny, zanieśli je do przetwórnicy po drugiej stronie zatoczki, tam zaś podciągnię-

to ryby na blokach, wyjęto wątroby, odcięto pletwy, a po zdjęciu skóry mięso pokrajano na paski, żeby je nasolić.

Kiedy wiatr wiał od wschodu, do przystani dołatywały zapachy z przetwórnicy, ale dziś ledwie się je czuło, bo wiatr przesunął się na północ, a potem ustął i na Tarasie było przyjemnie i słonecznie.

— Santiago — zaczął chłopiec.

— A co? — odezwał się tamten. Trzymał w ręce szklankę i myślał o tym, co było przed wielu laty.

— Mogłbym ci przynieść sardynki na jutro?

— Nie. Idź pograć w baseball. Jeszcze mogę wiosłować, a Rogelio zarzuci sieć.

— Bardzo bym chciał. Bo jak nie mogę z tobą łowić, to chociaż chciałbym na coś się przydać.

— Postawięś mi piwo — powiedział stary. —

Już jesteś mężczyzną.

— Ile lat miałem, jak mnie pierwszy raz wzięłeś do łodzi?

— Pięc. Kiedyś wyciągnąłem rybę za wcześniej i o mało cię nie zabiła; niewiele brakowało, a rozwaliby łódź na kawałki. Pamiętasz?

— Pamiętam, jak trzepała i biła ogonem i jak ławka trzasła, i to łomotanie pałką. Pamiętam, jak mnie rzuciłeś na dziób, gdzie były mokre zwoje lin, i czułem, że cała łódź drga, i słyszałem, jak walisz rybę pałką, jakby kto zrąbował drzewo, i pamiętam ten słodki zapach krwi na sobie.

— Czy ty naprawdę pamiętasz, czy też to ja ci tylko opowiadałem?

— Pamiętam wszystko, odkąd pierwszy raz popłynąłem z tobą.

Stary popatrzył na niego swymi wyblakłymi od słońca, ufnymi, kochającymi oczami.

— Gdybyś ty był mój, wzięłbym cię z sobą

i zaryzykował — rzekł. — Aleś ojca i matki i pływasz w szczęśliwej łodzi.

— A mógłbym ci przynieść sardynki? Wiem, gdzie można dostać jeszcze cztery przynęty.

— Zostały mi z dzisiejszego dnia. Włożyłem je do soli, do skrzynek!

— Pozwól mi przynieść cztery świeże.

— Jedną — powiedział stary. Nadzieja i ufność nigdy go nie opuszczały. A teraz przybierały na sile jak bryza, która się wzmacnia.

— Dwie — rzekł chłopiec.

— Niech będą dwie — zgodził się stary. — A nie ukradłeś ich czasem?

— Ukradłbym — odparł chłopiec. — Ale te kupilem.

— Dziękuję ci — powiedział stary. Był zbyt prosty, żeby się zastanawiać, kiedy osiągnął pokorę. Wiedział jednak, że ją osiągnął, wiedział też, że nie ma w tym nic haniebnego i że nie pociąga to za sobą utraty prawdziwej dumy.

— Przy takim prądzie powinien być jutro do bry dzień — rzekł.

— Gdzie popłyniesz? — zapytał chłopiec.

— Daleko, żeby wrócić, jak wiatr się zmieni. Chcę być na morzu, nim się rozwidni.

— Spróbuję namówić mojego, żeby też wypłynął daleko. Wtedy, jak złapiesz coś naprawdę dużego, będziemy mogli ci pomóc.

— On nie lubi łowić daleko od brzegu.

— Nie — powiedział chłopiec. — Ale ja potrafię wypatrzeć to, czego on nie dojrzy, na przykład kolującego ptaka, i namówię go, żeby popłynął za delfinami.

— Takie ma kieszkie oczy?

— Jest prawie ślepy.

— Dziwne — powiedział stary. — Nigdy nie płynął na żółwie. A właśnie od tego psuje się wzrok.

— Przeceź ty przez całe lata łowiłeś żółwie u Wybrzeży Moskitów, a oczy masz dobre.

— Bo ze mnie dziwny staruch.

— A masz teraz dość siły, żeby dać radę naprawdę dużej rybce?

— Chyba tak. Poza tym jest wiele sposobów.

— Zabierzmy rzeczy do domu — powiedział chłopiec. — Żebym mógł wziąć siatkę i pójść po te sardynki.

Wyjęli sprzęt z łodzi. Stary zarzucił na ramię maszt, a chłopiec wziął drewnianą skrzynekę ze zwojami mocno splecionych brunatnych linek i osęk, i harpun z drzewcem. Pudełko z przynętami zostało na rufie łodzi razem z pałką, którą ogłuszało się duże ryby po przyciągnięciu ich do burty. Nikt nie ukradłby nic staremu rybakowi, ale lepiej było zabrać żagiel i ciężkie linki do domu, bo rosa była dla nich szkodliwa, a stary, chociaż miał całkowitą pewność, że nikt z miejscowych go nie okradnie, uważał, że zostawianie w łodzi osęka i harpuna stwarza niepotrzebną pokusę.

Ruszyli razem drogą do chaty starego i weszli przez drzwi, które były otwarte. Stary oparł o ścianę maszt ze zwiniętym żaglem, a chłopiec postawił obok skrzynekę i resztę sprzętu. Maszt był prawie tak długi jak jedyna izba chaty. W chacie zbudowanej z twardych liści palmy królewskiej, zwanych *guano*, było łóżko, stół, jedno krzesło, a na klepsku miejsce, gdzie gotowano na węgłu drzewnym. Na brunatnej ścianie ze splecionych, zachodzących na siebie liści silnie uwłóknionego *guano* wisiał kolorowy obrazek Świętego Serca Jezusowego i drugi, przedstawiający Najświętszą Pannę z Cobre. Były to pamiętki po żonie starego. Niegdyś na ścianie wisiała też kolorowana fotografia żony, ale ją zdjęli, bo

patrząc na nią czuł się zbyt samotny; leżała teraz na półce w rogu, pod czystą koszulą.

— Co masz do jedzenia? — zapytał chłopiec.

— Garnek żółtego ryżu z rybą. Chcesz trochę?

— Nie. Będę jadł w domu. Rozpalic ogień?

— Nie, sam później rozpalę. Mogę też zjeść ryż na zimno.

— Można wziąć siatkę?

— No pewnie.

Nie było żadnej siatki i chłopiec pamiętał, kiedy ją sprzedali. Ale mimo to co dzień stwarzali sobie tę samą fikcję. Nie było garnka z żółtym ryżem i rybą, i chłopiec też o tym wiedział.

— Osiemdziesiąt pięć to szczęśliwa cyfra — rzekł stary. — Jakby ci się podobało, gdybym przywiózł rybę, co by ważyła z górą tysiąc funtów?

— Wezmę siatkę i pójdę po sardynki. Posiedzisz na progu w słońcu?

— Dobrze. Mam wczorajszą gazetę, to sobie poczytam o baseballu.

Chłopiec nie wiedział, czy i wczorajsza gazeta nie jest fikcją. Ale stary wyciągnął ją spod łóżka.

— Perico mi dał w bodedze — wyjaśnił.

— Wróć, jak już będę miał sardynki. Położę twoje i moje na lodzie, a jutro rano się podzielimy. Jak przyjdę, opowiesz mi o baseballu.

— „Jankeści” nie mogą przegrać.

— Ale ja się boję tych „Indian” z Cleveland.

— Wierz w „Jankeśów”, synku. Pamiętaj o wielkim Di Maggio.

— Boję się i „Tygrysów” z Detroit, i „Indian” z Cleveland.

— Uwazaj, bo jeszcze się zleknieisz nawet „Czerwonych” z Cincinnati i „Białych Pończoch” z Chicago.

— Przejrzyj to i opowiedz mi, jak wróć.

— Myślisz, że warto kupić los na loterię z nu-

merem osiemdziesiątym piątym? Bo to jutro osiemdziesiąty piąty dzień.

— Możemy — powiedział chłopiec. — Ale co z twoim wielkim rekordem osiemdziesięciu siedmiu dni?

— To się nie może powtórzyć. Myślisz, że znajdziesz osiemdziesiątkę piątkę?

— Mogę zamówić.

— Jeden los. To jest dwa i pół dolara. Od kogo można by tyle pożyczyć?

— Nic trudnego. Zawsze mogę pożyczyć dwa i pół dolara.

— Ja chyba też. Tylko że staram się nie pożyczać. Bo to najpierw pożyczasz, a potem żebrzesz.

— Uwazaj, żebyś się nie zaziębił — powiedział chłopiec. — Pamiętaj, że to wrzesień.

— Miesiąc, w którym przychodzi wielkie ryby — odparł stary. — Byle kto potrafi być rybakiem w maju.

— No, idę po te sardynki — rzekł chłopiec.

Kiedy wrócił, tamten spał w krześle, a słońce już zaszło. Chłopiec zdjął z łóżka stary wojskowy koc i rozłożył go na oparciu krzesła i na ramionach rybaka. Dziwne to były ramiona, wciąż jeszcze silne, choć bardzo stare; szyja też była mocna, a bruzdy mniej widoczne, gdy spał i głowa opadła mu na piersi. Koszulę tyle razy ta-tano, że przypominała żagiel, i łaty splowiały na słońcu i przybrały najrozmaitsze odcienie. Głowa starego była jednak bardzo sędziwa, a kiedy miał zamknięte oczy, w twarzy nie było życia. Gazeta leżała na jego kolanach, i ręka swoim ciężarem przytrzymywała ją wśród podmuchu wieczornej bryzy. Był bosy.

Chłopiec odszedł, a kiedy wrócił, stary wciąż jeszcze spał.

— Obudź się — powiedział chłopiec i położył mu rękę na kolanie.

Stary otworzył oczy i przez chwilę powracał z bardzo daleka. Potem usmiechnął się.

— Co tam masz? — zapytał.

— Kolację — odpowiedział chłopiec. — Zjemy teraz kolację.

— Nie jestem głodny.

— Chodź coś zjeść. Nie możesz łowić ryb i nie jeść.

— Już tak bywało — powiedział stary wstając i składając gazetę. Potem zabrał się do składania koca.

— Nie zdejmuj tego koca — rzekł chłopiec. — Póki ja żyję, nie będziesz jeździł na połów bez jedzenia.

— W takim razie żyj długo i uważaj na siebie — powiedział stary. — Co jemy?

— Czarną fasolę z ryżem, przyplekane banany i trochę duszonego mięsa.

Chłopiec przyniósł to z Tarasu w podwójnej metalowej menażce. W kieszeni miał dwa kom-plety noży, widelców i łyżek, każdy zawinięty w papierową serwetkę.

— Kto ci to dał?

— Martin. Właściciel.

— Muszę mu podziękować.

— Już mu podziękowałem. Ty nie musisz dziękować.

— Dam mu mięso z brzucha wielkiej ryby — powiedział stary. — Czy on już kiedyś przysłał nam jedzenie?

— Chyba tak.

— Więc muszę mu dać coś więcej niż mięso z brzucha. Bardzo o nas dba.

— Przysłał dwa piwa.

— Najbardziej lubię piwo w puszkach.

— Wiem. Ale to jest Hatuey w butelkach; butelki zabieram z powrotem.

— Poczciwy jesteś — rzekł stary. — Zjemy coś?

— Przecież cię prosiłem — powiedział tagodnie chłopiec. — Nie chciałem otwierać menażki, póki nie będziesz gotów.

— Już jestem gotów — odrzekł stary. — Musiałem tylko mieć czas, żeby się umyć.

„Gdzieś ty się umył?” — pomyślał chłopiec. Włoskowy zbiornik wody był o dwie ulice dalej.

„Muszę tu mieć wodę dla niego — postanowił — i mydło, i porządny ręcznik. Dlaczego jestem taki beznamiętny? Trzeba mu sprawić drugą koszulę i kurtkę na zimę, jakieś buty i jeszcze jeden koc.”

— To mięso jest doskonałe — powiedział stary. — Opowiedz mi o baseballu — poprosił chłopiec.

— W Lidze Amerykańskiej wygrali „Jankeści”, tak jak mówiłem — odparł tamten z radością.

— A dziś przegrali — powiedział chłopiec.

— To nie nie znaczy. Wielki Di Maggio znowu wrócił do formy.

— Mają tam innych w drużynie.

— Naturalnie. Ale on przesądza sprawę. W drużynie lidze muszę między Brooklynem a Filadelfią wybrać Brooklyn. Tylko że myślę o Dicku Sislere i tych jego wspaniałych rzutach w starym parku.

— Nikt lepiej nie potrafi. Podaje najdłuższą piłkę, jaka w życiu widziałem.

— Pamiętasz, jak tu przychodził na Taras? Chciałem go zabrać na ryby, ale nie miałem śmiałości go zaprosić. Później namawiałem ciebie i ty też nie miałeś odwagi.

— Wiem. To był wielki błąd. Mógł z nami po- płynąć. Mielibyśmy wspomnienie na całe życie.

— Chętnie bym wziął wielkiego Di Maggio na ryby — powiedział stary. — Mówią, że jego ojciec był rybakiem. Może on też był taki sam biedak jak my i potrafiłby zrozumieć.

— Ojciec wielkiego Sislera nigdy nie był bied-

ny i w moim wieku grywał w wielkich rozgrywkach ligowych.

— Kiedy ja byłem w twoim wieku, służyłem jako prosty majtek na statku rejonowym, który pływał do Afryki, i wieczorami widywałem lwy nad brzegiem morza.

— Wiem. Opowiadałeś mi.

— Pogadamy o Afryce czy o baseballu?

— Chyba o baseballu — odparł chłopiec. — Opowiedz mi o wielkim Johnie Mc Graw. — Wy-mawiał „John” przez „jot”.

— Dawniej także czasem przychodził na Taras. Ale był szorstki, ostry w słowach i trudno było dać sobie z nim radę, jak popił. W głowie miał tyłko baseball i konie. Przynajmniej zawsze nosił po kieszeniach spisy koni i często gadał przez telefon końskie imiona.

— Świętym był z niego kierownik drużyny — powiedział chłopiec. — Ojciec uważa, że najlepszy.

— Bo tu najczęściej przyjeżdżał — odparł starzy. — Gdyby Durocher dalej się tu pokazywał co roku, twój ojciec jego uważałby za najlepszego.

— A kto jest naprawdę najlepszy: Luque czy Mike Gonzales?

— Myślę, że są sobie równi.

— A najlepszym rybakiem jesteś ty.)

— Nie. Znam innych, lepszych.)

— *Qué val* — zawołał chłopiec. — Jest wielu dobrych rybaków i kilku wspaniałych. Ale nie ma takiego jak ty.)

— Dziękuję ci. Ucieszyłeś mnie. Mam nadzieję, że nie trafi się taka wielka ryba, która by naró pokazała, że się mylmy.

— Nie ma takiej ryby, jeżeli wciąż jesteś tak silny, jak mówisz.)

— Mogę nie być tak silny, jak myślę — powie-

dział stary — ale znam wiele sposobów i jestem śmiały.

— Teraz powinienś iść do łózka, żebyś jutro rano był wypoczęty. A ja odniosę to wszystko na Taras.

— No to dobranoc. Obudzę cię rano.

— Jesteś moim budzikiem.

— A moim budzikiem jest wiek — odparł starzy. — Dlaczego starzy ludzie budzą się tak wcześnie? Czy po to, żeby mieć dłuższy dzień?

— Nie wiem — odpowiedział chłopiec. — Wiem tylko, że młodzi chłopcy sypiają długo i twardo.

— Przypominam to sobie — rzekł stary. — Zbudzę cię w porę.

— Nie lubię, jak ten mój mnie budzi. Bo to tak, jakbym był gorszy od niego.

— Wiem.

— Spij dobrze, staruszk.

Chłopiec wyszedł. Jedli bez świateła, więc teraz stary po ciemku zjął spodnie i położył się do łózka. Spodnie zwinął, żeby zrobić sobie zagłówek, a do środka wsadził gazetę. Otulił się kocem i zasnął na innych starych gazetach, którymi przykryte były sprężyny łózka.

Usnął szybko i śnił o Afryce z tych czasów, kiedy był chłopcem, o długich, złotych plażach i plażach białych, tak białych, że aż oczy bolały; o wysokich przyładkach i wielkich, brunatnych górach. Co noc żył teraz na owym wybrzeżu i w snach słyszał huk fal, i widział przedzierające się przez nie łodzie krajowców. Śpiąc czuł woń smoły i pakul na pokładzie, czuł zapach Afryki, który rankiem przynosiła bryza od ładu.

Zazwyczaj, kiedy już poczuł bryzę ładu, wstawał i ubierał się, żeby obudzić chłopca. Tej nocy jednak zapach od ładu przyszedł bardzo wcześnie, on zaś przez sen wiedział, że to jeszcze nie pora, więc śnił dalej, by ujrzeć białe szczyty wysp wy-

nurzające się z morza, a potem zwiđziaty mu się rozmaite przystanie i redy Wysp Kanaryjskich. Nie śniły mu się już burze ani kobiety, ani wielkie wydarzenia, ogromne ryby, bójki czy mocowania, ani też własna żona. Teraz śnił już tylko o różnych miejscach i o lwach na plaży. W zmnroku igrały jak młode koty, a on je kochał, podobnie jak kochał chłopca. Chłopiec nie śnił mu się nigdy.

Przebudził się, spojrzał przez otwarte drzwi na księżyc, rozwinął spodnie i naciągnął je. Za chatą oddał mocz i poszedł drogą, aby obudzić chłopca. Dygotał od porannego chłodu. Wiedział jednak, że z tego dygotania zrobi mu się ciepło i że niedługo już będzie wiosłował.

Drzwi domu, w którym mieszkał chłopiec, nie były zamknięte na klucz, więc uchylił je i wszedł stąpając cicho bosymi nogami. Chłopiec spał w pierwszej izbie na składanym łóżku i stary dojrzał go wyraźnie przy wpadającym tam świetle gasnącego księżycyca. Ujął chłopca łagodnie za stopę i przytrzymał ją, aż ów się zbudził, obrócił i spojrzał na niego. Stary kiwnął głową, a chłopiec wziął z krzesła spodnie i wciągnął je siedząc na łóżku.

Stary rybak wyszedł, chłopiec zaś podążył za nim. Był senny, więc stary objął go za ramiona i powiedział:

— Zal mi ciebie.

— *Qué va!* — odparł chłopiec. — Taki jest obowiązek mężczyzny.

Szli do chaty starego, a wzdłuż całej drogi, w mroku, spieszyli bosi mężczyźni niosąc maszty swych łodzi.

Kiedy dotarli do chaty, chłopiec wziął zwoje linek złożone w koszyku, harpun i osek, a stary zarzucił na ramię maszt ze zwinionym żaglem.

— Chcesz kawy? — zapytał chłopiec.

— Wsadzimy sprzęt do łodzi, a potem się napijemy.

Napili się kawy z puszek po skondensowanym mleku w budce, gdzie wczesnym rankiem obstrugiwano rybaków.

— Jak się spało, staruszkuszku? — zapytał chłopiec. Teraz już przytomniał, choć nadal ciężko mu było rozstać się ze snem.

— Doskonale, Manolin — odparł rybak. — Czuję się dzisiaj pewnie.

— Ja też — powiedział chłopiec. — A teraz muszę iść po twoje i moje sardynki, i po świeże przynęty dla ciebie. Ten mój sam przynosi nasz sprzęt. Nie chce, żeby ktoś inny nosił cokolwiek.

— U nas inaczej — zauważył stary. — Pozwalałem ci nosić różne rzeczy, kiedy miałeś pięć lat.

— Wiem o tym — powiedział chłopiec. — Teraz wróce. Napij się jeszcze kawy. Mamy tu kredyt.

Odszedł bosy po koralowych skałach do chłodni, gdzie przechowywano przynęty.

Stary powoli łykał kawę. Miała mu wystarczyć na cały dzień, wiedział więc, że powinien ją wypić. Od dawna już znudziło mu się jedzenie, toteż nigdy nie zabierał obiadu. Na dziobie łodzi miał flaszkę z wodą i nie potrzeba mu było nic więcej do wieczora.

Chłopiec wrócił niosąc sardynki i dwie przynęty zawinięte w gazetę; poszli do łodzi wydeptaną ścieżką, czując pod stopami piach i kamynki, dźwignęli łódź i zepchnęli ją na wodę.

— Wszystkiego dobrego, stary.

— Wszystkiego dobrego — odpowiedział tamten. Umocował wiązadłami wiosła w dulkach i pochyliwszy się do przodu, zagarnął wodę piorami wiaseł i zaczął w ciemnościach wypływać z przystani. Łodzie z innych plaż też wyruszały

na morze i stary rybak słyszał, jak ich wiosła zanurzają się i odpychają wodę, chociaż nie mógł nic dojrzeć, gdyż księżyc już zaszedł za wzgórze.

Czasem ktoś przemówił w jakimś łodzi. Większość ich jednak płynęła w ciszy, przerywanej jedynie pluskiem wiosel. Za wylotem przystani rozproszyły się i każda podążyła w tę stronę oceanu, gdzie spodziewała się znaleźć ryby. Stary pamiętał, że ma wypłynąć daleko; zapach łądu pozostał już w tyle, a on wiosłował prosto w czystą, poranną woń oceanu. Dostrzegł w morzu fosforescencję wodorostów, płynąc nad miejscem, które rybacy zwali wielką studnią, ponieważ była tam nagła głębina licząca siedemset sażni, gdzie gromadziły się wszelkie odmiany ryb dzięki wiorowi wytwarzanemu przez prąd uderzający o strone ściany dna oceanu. Tu były skupiska krewek i ryb używanych na przynęty, a czasem, gazieś w najgłębszych rozpadlinach, ławice mław, które nocą wypływały prawie na samą powierzchnię i stawały się żerem wszelkich wędrujących ryb.

Stary czuł w mroku zbliżanie się świtu, a wiosłując słyszał drżący dźwięk, gdy latające ryby wyskakiwały z wody, i syk ich sztywnych, napiętych skrzydeł, kiedy wzbijały się w ciemność. Bardzo lubił latające ryby: były one największymi jego przyjaciółkami na oceanie. Zaimu było ptaków, a zwłaszcza małych, delikatnych, ciemnych rybitw, które wciąż latały rozglądając się za czymś i prawie nigdy nic nie znając. Pomyślał: „Ptaki mają cięższe życie niż my, z wyjątkiem drapieżników i tych dużych, silnych. Dlaczego stworzono ptaki tak kruche i wątłe jak te jaskółki morskie, jeżeli ocean potrafi być tak okrutny? Jest dobry i bardzo piękny. Ale umie też być okrutny, a przychodzi to nagle, i takie ptaki, co latają muskając

wodę i polując, i mają słabe, smutne głosy, są za delikatne na morze.”

Zawsze nazywał w myśli morze: *la mar*, bo tak nazywają je ludzie po hiszpańsku, gdy je kochają. Czasami ci, co je kochają, mówią o nim złe słowa, ale zawsze tak, jakby chodziło o kobietę. Niektórzy młodzi rybacy — ci, co używali boj jako pływaków do linek i mieli motorówki kupione wiedy, gdy wątroby rekinów przyniosły im dużo pieniędzy — mówili o nim *el mar*, co jest rodzaju męskiego. Mówili o nim jak o przeciwniku bądź miejscu, bądź nawet wrogu. Ale stary zawsze myślał o nim w rodzaju żeńskim, jako o czymś, co udziela albo odmawia wielkich łask, i jeśli robi rzeczy straszne i złe, to dlatego, że nie może inaczej. „Księżyc działa na nią jak na kobietę” — myślał.

Wiosłował równo i nie wymagało to wysiłku, bo dobrze utrzymywał szybkość, a powierzchnia oceanu była gładka, tylko prąd kłębił się od czasu do czasu. Pozwalał prądowi wykonywać jedną trzecią pracy i kiedy zaczęło świtać, stwierdził, że jest już dalej, niż się spodziewał być o tej godzinie.

„Przez tydzień obrabiałem wielką studnię i nie nie zdziałatem — pomyślał. — Dziś będę łowił tam, gdzie są ławice bonito i albacore'ów, a może przy nich znajdzie się i jakaś duża sztuka.”

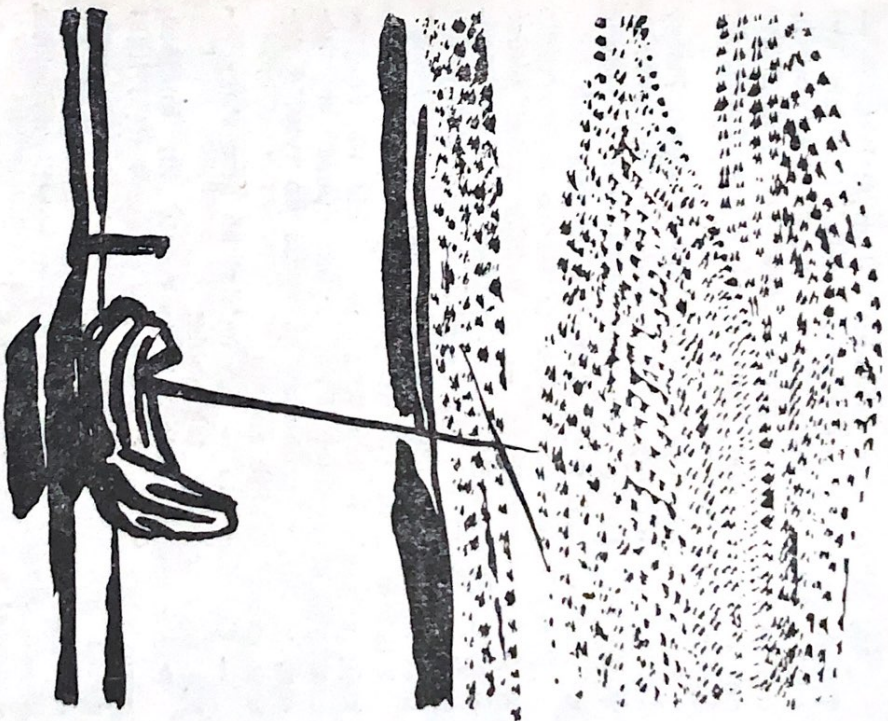
Zanim się na dobre rozwidniło, zarzucił już przynęty i dryfował z prądem. Jedną opuścił na czterdzieści sażni. Druga była na siedemdziesięciu pięciu, a trzecia i czwarta znajdowały się w bliższej wodzie na głębokości stu i stu dwudziestu pięciu sażni. Każda przynęta zwisała głową w dół, trzon haka tkwił w rybie, mocno przytwierdzonej i zaszytej, a całą jego wystającą część, krzywiznę i ostrze pokrywały świeże sardynki. Wszystkie nanizane były przez oczy, tak że tworzyły pół-

kolistą girlandę na sterzącej stali. Żadna ryba nie mogłaby znaleźć takiej cząstki haka, która nie pachniałaby słodko i nie smakowała dobrze.

Chłopiec dał mu dwa małe, świeże tuńczyki, czyli albacore'y, i te wisały na obu najdłuższych linkach niby ciężarki, na pozostałych zaś miał jedną dużą błękitną i jedną żółtą makrele, których już przedtem używał; były jednakże nadal w dobrym stanie, a wyborne sardynki dodawały im woni i powabu. Każda linka, grubości dużego ołowka, przycepiona była pętlą do świeżo uciętego, zielonego patyka, tak że wszelkie pociągnięcie czy dotknięcie przynęty musiałoby go wygiąć, każda miała dwa czterdziestosążniowe zwoje, do których można było przywiązać inne, zapasowe, toteż w razie potrzeby ryba mogła wybrać ponad trzysta sążni linki.

Obserwował teraz, czy trzy patyki nie wyginają się przez burtę łodzi, i wiosłował powoli, aby utrzymać linki pionowo na ich właściwych głębokościach. Było już całkiem widno i słońce miało wzejść łada chwila.

Skrawek słońca wynurzył się z morza i stary ujrzał daleko w kierunku brzegu inne łodzie, le-dwo widoczne nad wodą, rozproszone w poprzek prądu. Potem słońce pojaśniało, na wodę padł blask, a kiedy wynurzyło się zupełnie, gładkie morze odbiło go starem w oczy tak, że zabolaty ostro, więc wiosłował nie patrząc w tę stronę. Spoglądał w dół i obserwował linki, które zbiegały prosto w mrok wody. Utrzymywał je bardziej pionowo niż inni rybacy, ażeby na każdym poziomie w ciemnościach nurtu przynęta czekała na wszelkie przepływające ryby dokładnie tam, gdzie chciał ją mieć. Inni pozwalali przynętom unosić się z prądem i nieraz znajdowały się one na głębokości sześćdziesięciu sążni, kiedy rybak myślał, że są na stu.



„Ale ja to robię dokładnie — myślał stary. — Tylko że nie mam już szczęścia. Chociaż kto wie? Może dzisiaj? Każdy dzień jest nowym dniem. Lepiej jest mieć szczęście. Ale ja wolę być dokładnie. Bo wtedy, jak szczęście przychodzi, jesteś gotów.”

Słońce było teraz o dwie godziny wyżej i oczy nie bolały już tak od patrzenia ku wschodowi. Tylko trzy łodzie były jeszcze widoczne i ledwie wystawały nad wodę daleko w stronie lądu.

„Przez całe życie poranne słońce raziło mnie w oczy — pomyślał. — A jednak wciąż widzę dobrze. Pod wieczór mogę patrzeć prosto w słońce i nie robi mi się czarno. A ono wtedy ma przeciw większą siłę. Tylko że rano jest bolesne.”

Właśnie w tej chwili spostrzegł przed sobą sokoła morskiego krążącego po niebie na długich czarnych skrzydłach. Ptak szybko opuścił się sokołem w dół, ściągawszy skrzydła do tyłu, a potem zaczął krążyć znowu.

— Coś tam ma — powiedział na głos stary. — Nie wypatruje ot tak sobie.

Powiosłował wolno i spokojnie ku miejscu, gdzie ptak kołował. Stary nie śpieszył się i linki wciąż utrzymywał pionowo. Ale wszedł nieco w prąd, tak że wprawdzie nadal płynął prawidłowo, jednak szybciej, niżby to robił, gdyby nie usiłował wykorzystywać ptaka.

Sokół wzbił się wyżej w powietrze i znowu krążył na nieruchomych skrzydłach. A potem nagle runął w dół i stary ujrzał latające ryby, które wyrwały się z wody i poszybowały rozpaczliwie nad jej powierzchnią.

— Delfin — powiedział głośno. — Duży delfin. Złożył wiosła na dnie łodzi i wyjął spod dzioba niewielką linkę. Miała przyponę z drutu i średniej wielkości hak, na który nasadził jedną z sardynek. Spuścił linkę za burtę i uwijał ją do

pierścienia na rufie. Potem założył przynętę na drugą linkę, którą zostawił zwiniętą w cieniu dzioba. Znowu chwycił za wiosła i śledził długoskrzydłego czarnego ptaka, który teraz kołował nisko nad wodą.

Kiedy tak patrzył, ptak nagle znurkował składowając skośnie skrzydła, po czym zaczął nimi trzepotać dziko i bezskutecznie w pogoni za latającymi rybami. Stary zauważył lekkie wydecie wody, którą wypierały duże delfiny, też płynąc za uciekającymi. Delfiny prudy wodę wprost pod rybami i mknąc tak szybko musiały znaleźć się w miejscu, gdzie miały opaść. „To duża ławica delfinów — pomyślał stary. — Rozpostarły się szeroko i latające ryby mają niewielkie szanse. Ptak nie ma żadnych. Latające ryby są dla niego za duże i poruszają się za szybko.”

Patrzal, jak ryby wciąż od nowa wypryskiwały z wody, i śledził bezskuteczne ruchy sokoła. „Ta ławica wymknęła mi się — pomyślał. — Płyną za przedko i są za daleko. Ale może mi się trafi jakaś zblakana sztuka i może moja wielka ryba jest gdzieś blisko nich. Moja wielka ryba musi przecież gdzieś być.”

Obłoki nad ładem spietrzyły się teraz jak góry i brzeg był już tylko długą zieloną linią, za którą widniały szarobłękitne wzgórza. Woda stała się ciemnoniebieska, tak ciemna, że prawie fiolotowa. Kiedy w nią spojrzal, zobaczył w ciemnej wodzie czerwono rozsiany plankton i dziwne światło rzucane przez słońce. Pilnował, żeby linki biegały prosto w dół, znikając w głębinie, i rad był, iż widzi tyle planktonu, bo oznaczało to, że są tu ryby. Dziwne światło, które słońce, podniosłszy się wyżej, zapalało w wodzie, wróżyło dobrą pogodę, podobnie jak kształt obłoków nad ładem. Ale ptaka prawie nie było już widać i nic nie ukazywało się na powierzchni, prócz jednej czy

drugiej plamy żółtych, zbielałych od słońca wodorostów sargasowych i fiołkowego, kształtnego, opalizującego, żelatynowego pęczera portugalskiej meduzy, unoszącej się tuż przy łodzi. Obróciła się na bok, a potem wyprostowała. Splywała wesoło jak banieczka, a za nią snuły się w wodzie jej długie na jard, zabójcze fiołkowe nici.

— *Agua mala* — powiedział rybak. — Ty kurwo.

Lekko robiąc wiosłami, spojrzął w wodę i dostrzegł drobne ryby, które były barwy podobnej do snujących się nici meduzy i płynęły między nimi, w niewielkim cieniu, jaki rzuciła. Ryby te były odporne na jej jad. Natomiast ludzcie odporni nie byli i zdarzało się, że kiedy stary wyciągał rybę, a nici meduzy, przywarwszy do linki, pozostały na niej, osiźle i fiołkowe, występowały mu na rękach i dłoniach pregi i rany podobne do tych, jakie powoduje trujący bluszcz albo dąb. Tylko że te zatrucia od *agua mala* pojawiały się szybko i uderzały niby smagnięcie biczem.

Opalizujące banieczki były piękne. Ale były też najdradliwszą rzeczą w morzu i stary lubił pałtrzyć, jak je pożerają duże morskie żółwie. Żółwie zobaczywszy je zbliżały się od przodu, po czym zamykały oczy i wtedy, całkowicie osłonięte pancerzem, zjadały meduzy razem z niciami. Stary lubił przyglądać się, jak to robią, i lubił też deptać meduzy na plaży po sztormie, i słuchać, jak pękają, gdy je naciskał zrogowaciałą podeszwą stopy.

Lubił żółwie zielone i szylkretowe za ich elegancję, żwawość i dużą wartość, a z przyjaznym lekceważeniem odnosił się do ogromnych, głupich wielkogłowów, odkrytych żółtymi płytkami pancerza, kochających się bardzo dziwacznie i porażających radośnie, z przymkniętymi oczami, portugalskie meduzy.

Nie miał żadnych mistycznych wyobrażeń na temat żółwi, chociaż od wielu lat pływał w łodziach żółwiowych. Współczuł im wszystkim, nawet tym olbrzymom, które były długie jak czółno i wazyły tonę. Większość ludzi nie ma serca do żółwi, ponieważ serce żółwia zwykło bić godzinami, kiedy go już rozcięto i wypatroszono. Ale stary myślał: „I ja też mam takie serce, a nasze ręce i nogi są do siebie podobne.” Zjadał białe jaja żółwie, żeby się wzmocnić. Jadł je przez cały maj, aby we wrzesniu i październiku mieć dosyć sił na prawdziwie wielkie ryby.

Co dzień wypijał też kubek tranu rekinowego z dużego bejuna, który stał w szopie, gdzie wielu rybaków przechowywało swój sprzęt. Ten tran mógł brać każdy, kto chciał. Większość rybaków nie cierpiała jego smaku, ale nie było to gorsze od wstawiania o zwykłej, wczesniej godzinie, a doskonałe na wszelkie przeziębienia i grypy i dobre na oczy.

Teraz stary podniósł wzrok i spostrzegł, że ptak krąży znowu.

— Znalazł rybę — powiedział głośno. Latające ryby nigdzie nie rozcinały powierzchni, nie było też widać rozproszonych ryb-przynęt. Ale kiedy stary tak patrzył, mały tuńczyk wypłynął w powietrze i spadł głową na dół w wodę. Zalsnił srebrzyście w słońcu, a gdy już opadł z powrotem, inne poczęły wylatywać w górę i tak skakały na wszystkie strony, zapieniając wodę i dając długie susy w pogoni za rybami. Okrażały je i pedziły przed sobą.

„Jeżeli nie będą płynęły za szybko, dostane się między nie” — pomyślał stary i śledził ławicę, która biała burzyła wodę, i sokoła spadającego teraz na ryby przedzierające się w poplochu na powierzchnię.

— Wielką mam pomoc z tego ptaka — powie-

dział. Właśnie w tej chwili linka rufowa naprężała mu się pod stopą, którą przytrzymywał jej pętle; puścił więc wiosła i wyczuł drżący ciężar całego tuńczyka, gdy trzymając mocno linkę, zaczął ją wybierać. Drżenie wzmagalo się, w miarę jak ciągnął, aż wreszcie zobaczył w wodzie niebieski grzbiet i złote boki ryby, zanim przerzucił ją przez burłę do łodzi. Legła na rufie w słoncu, wypiężona, o kształcie pocisku, a jej wielkie, nierozumne oczy były szeroko rozwarłe, gdy wybijala z siebie życie o deski łodzi szybkimi, rozdrganymi uderzeniami zgrabnego, śmigłego ogona. Stary z litości zadał jej ostateczny cios w głowę i kopnięciem wyrzucił dygocące jeszcze ciało w cień rufy.

— Albacore — powiedział na głos. — Będzie z niego piękna przynęta. Musi ważyć z dziesięć funtów.

Nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy zaczął głośno mówić do siebie w samotności. Dawniej śpiewał, gdy był sam, zdarzało się też, że śpiewał sobie nocą sterując podczas wachty na kutrach czy łodziach żółwiowych. Prawdopodobnie zaczął mówić na głos, kiedy został sam jeden po odejściu chłopca. Ale nie przypominał sobie dokładnie. Jeżeli wypływał na połow razem z chłopcem, zazwyczaj rozmawiali wtedy tylko, kiedy to było konieczne. Gadali w nocy albo w chwili złej pogoda pchała ich w burzę. Powstrzymywanie się od zbędnych rozmów na morzu uważane było za cnotę i stary zawsze był tego zdania, i postępował odpowiednio. Teraz jednakże nieraz wypowiadał głośno swoje myśli, bo nie było nikogo, komu mogłyby się uprzykrzyć.

— Gdyby inni słyszeli, że głośno mówię, pomyśleliby, że zwariowałem — powiedział na głos. — Ale ponieważ nie jestem wariatem, więc mi to

obojętne. Bogaci mają w łodziach radio, które do nich gada i przynosi im nowiny baseballowe. „Teraz nie czas zastanawiać się nad baseballlem — pomyślał. — Teraz trzeba się skupić tylko na jednym. Na tym, do czego się urodziłem. Przy tej ławicy może być jakiś duża sztuka. Złapałem tylko marudera spośród tych albacore'ów, które tu żerowały. Reszta płynie szybko i jest już daleko. Wszystkie, co dziś pokazuje się na powierzchni, płynię bardzo prędko i na północny wschód. Może to pora dnia? A może jakiś nie znana mi oznaka pogody?”

Nie mógł już dojrzec zieleni brzegu, widział tylko szczyty niebieskich wzgórz, które bieleły, jakby przysypane śniegiem, a nad nimi obłoki przypominające wysokie śnieżne góry. Morze było bardzo ciemne, a światło tworzyło w wodzie przymaty. Tysiączne punkciki planktonu zagasy teraz, kiedy słońce podeszło wyżej, i stary dostrzegł w błękitnej wodzie te wielkie przymaty i linki opadające pionowo w wodę, która była na milę głęboka.

Tuńczyki — rybacy zwali wszystkie ryby tego gatunku tuńczykami i rozróżniali je według właściwych nazw tylko wtedy, gdy przyszło je sprzedać albo zamienić na przynęty — opuścili się znowu głębiej. Słońce było teraz gorące i stary woszcząc czuł je na karku; czuł także, że pot ścieka mu po plecach.

„Mógłbym zyczęć podryfować — pomyślał — i przespać się owinawszy linkę na palcu stopy, żeby mnie przebudziła. Ale dziś mija osiemdziesiąt pięć dni i powinienem łowić porządnie.”

Właśnie wtedy, obserwując linki, zauważył, że jeden ze sterzących zielonych patyków wygiął się raptownie w dół.

— Idę — powiedział. — Już idę. — Unikając wstrząsów złożył wiosła na dnie łodzi. Siegnął po

linkę i przytrzymał ją delikatnie między dużym i wskazującym palcem prawej ręki. Nie czuł napięcia ani ciężaru i linkę trzymał lekko. A potem powrótyło się to znowu. Tym razem było to pocągnięcie próbne, nie uporczywe ani mocne, wiedział więc już dokładnie, o co chodzi. Na głębokości stu sążni marlin zżerał sardynki pokrywające ostrze i trzon haka, w miejscu gdzie ręczajace ostrze i trzon wystawało z głowy małego tuńca kute żelazo

czyka. Stary przytrzymał linkę miękko, delikatnie, a lewą ręką odwiązał ją ostrożnie z patyka. Teraz mógł ją przepuszczać między palcami, nie dając rybce wyczuć napięcia.

„Musi być wielki, jeżeli wypłynął tak daleko w tym miesiącu — pomyślał. — Jedz, rybo, jedzi! Proszę cię, zjedz je! Patrz, jakie świetułkie, a ty tam tkwisz po ciemku, w tej zimnej wodzie, na sześćset stóp głęboko. Zrób jeszcze jedno koło w ciemności, zawróć i zjedz je.”

Uczuł lekkie, delikatne pociągnięcie, potem mocniejsze targanie: widocznie głowę któregoś sardynki trudniej było zerwać z haka. A później wszystko ustało.

— No, chodź — powiedział głośno. — Zrób jeszcze jedno koło. Tylko je powąchaj. Prawda, jakie śliczne? Zjedz je porządnie, a potem będziesz miała tuńczyka. Jędrny jest, zimny i ładny. Nie wstydz się, rybo. Jedzi!

Czekał trzymając wciąż linkę między dużym i wskazującym palcem; śledził zarazem inne linki, gdyż ryba mogła wypłynąć w górę albo zagłębić się bardziej. Wreszcie to samo delikatne pociągnięcie powrótyło się znowu.

— Weźmie — powiedział na głos. — Boże, dopomóż mu, żeby wziął.

Jednakże marlin nie wziął. Odpłynął i stary nie czuł już nic.

— Nie mógł sobie pójść — rzekł stary. — Sam Bóg wie, że nie mógł. Robi koło. Może już go brali na hak i zaparniętał to sobie.

Znow wyczuł łagodne trącenie linki i uradował się.

— Robił tylko to swoje koło — powiedział. — Weźmie.

Uszcześliwiony, poczuł delikatne ciągnięcie, a potem jakiś opór i niewiarygodny ciężar. Była to waga ryby; stary pozwolił lince sunąć w dół, w dół, w dół i odwijając pierwszy z dwóch zapasowych zwojów. Kiedy tak wylatywała, sunąc mu lekko między palcami, mógł nadal wyczuć ogromny ciężar, choć nacisk palców był prawie nie-dostrzegalny.

— Co za ryba! — powiedział. — Ma teraz hak bokiem w pysku i odpływa z nim.

„Potem zawróci i połknie go” — pomyślał. Nie wyrzekł tego jednak, gdyż wiedział, że jeśli się powie na głos coś dobrego, może się to nie zdarzyć. Domyślał się, jak wielka jest owa ryba, i wyobrażał sobie, jak odpływa w ciemność trzymając tuńczyka w poprzek pyska. W tej chwili uczuł, że przestała płynąć, ale ciężar nie ustępował. Potem wzrósł jeszcze, więc stary wypuścił więcej linki. Na moment zacisnął mocniej palec, a ciężar zwiększył się i ciągnął prosto w dół.

— Wziął! — powiedział. — Teraz niech sobie dobrze to zje.

Pozwolił lince sunąć między palcami, a tymczasem wyciągnął lewą rękę i uwiązał wolny koniec obu zapasowych zwojów do pięli dwóch zwojów następnej linki. Był teraz gotów. Miał w rezerwie trzy czterdziestosążniowe zwoje, a także ten, którego obecnie używał.

— Zjedz jeszcze trochę — powiedział. — Zjedz dobrze.

„Zjedz tak, żeby ostrze haka trafiło do serca

wie wygodnie. W gruncie rzeczy pozycja ta była zaledwie trochę mniej nieznośna, ale jemu wy-

dawała się prawie wygodna.
„Nie mogę nic z nim zrobić i on nie może nic zrobić ze mną — pomyślał. — Przynajmniej do-

póki będzie dalej tak postępował.”
Raz wstał, oddał moc przez burkę łodzi, popatrzał na gwiazdy i sprawdził kurs. Linka wyglądała w wodzie jak fosforyzująca pręga biegnąca prosto od ramienia starego. Płynęli teraz wolniej, i luna Hawany nie była tak mocna, wiedział więc, że prąd musi ich znosić ku wschodowi. „Jeżeli strace z oczu światła Hawany, to będzie znaczyło, że płyniemy bardziej na wschód — pomyślał. — Bo gdyby ryba trzymała kurs, powinien bym je widzieć jeszcze przez szereg godzin. Ciekawe, jak wypadły dzisiejsze wielkie rozgrzewki ligowe w baseballu. Wspaniale byłoby usłyszeć to przez radio.” A później pomyślał: „Myśl tylko o tym, co należy. Miej w głowie to, co robisz. Nie wolno ci zrobić żadnego głupstwa.”

Następnie powiedział na głos:
— Chciałbym tu mieć chłopca. Żeby mi pomógł i żeby to zobaczył.

„Nikt nie powinien zostawać sam na starość — myślał. — Ale to niemożliwe. Muszę pamiętać, żeby zjeść tuńczyka, zanim się zepsuje, bo trzeba zachować siły. Pamiętaj, że choćbyś nie bardzo miał ochotę, musisz go zjeść rano. Pamiętaj!” — powiedział do siebie.

W nocy podплыnęły do łodzi dwa delfiny i słyszał, jak kołowały się w wodzie i dmuchały. Mógł rozróżnić odgłos wydychanego samca i podobne do westchnień dmuchnięcia samicy.

— Pocziwie są — powiedział. — Bawią się, fi-glują i kochają wzajemnie. To nasi bracia, tak jak latające ryby.

A potem zrobiło mu się żal wielkiego marlina,

którego schwytał na hak. „Wspaniały jest, dziwny i kto wie, ile ma lat — pomyślał. — Jeszcze nigdy nie spotkałem równie silnej ryby ani takiej, która postępowałaby równie dziwacznie. Może jest za mądry, żeby skakać. Mógłby mnie wykończyć, gdyby skoczył albo rzucił się nagle. Ale pewnie już nieraz brali go na hak i wie, że tak właśnie powinien walczyć. Nie może wiedzieć, że ma przeciwnik sobie tylko jednego człowieka ani że ten człowiek jest stary. Ale cóż to za ogromna sztuka i ileż przyniesie na targu, jeżeli mięso jest dobre! Wziął przynętę, jak na samca przystało, i ciągnie jak samiec, a walczy bez popłochu. Ciekawe, czy ma jakieś plany, czy też to taki sam straceniec jak ja?”

Przypomniał sobie, jak kiedyś złowił jednego z pary marlinów. Samiec zawsze pozwała samicy, by pierwsza się pożywiła: schwytana ryba, samica, rozpozczęła wtedy dzikie, oszalałe, rozpaczliwe zapasy, które wprędce ją wyczerpały, a przez cały ten czas samiec pozostał przy niej, przepływając w poprzek linki i krążąc ze swoją towarzyszką na powierzchni. Trzymał się tak blisko, iż stary obawiał się, że przetnie linkę ogonem, który był ostry jak kosa i niemal tejże wielkości i kształtu. Kiedy stary przyciągnął rybę osekciem i trzymając ją za miecz, szorstki na krawędziach niczym tarka, walił palką po łbie, aż przybrała barwę prawie taką jak odwrotna strona lustra, i kiedy wręszcie z pomocą chłopca wrzucił ją do łodzi — samiec nadal pozostał przy burcie. Potem, gdy stary rozplątywał liny i przygotowywał harpun, samiec wyskoczył tuż obok wysoko w powietrze, żeby zobaczyć, gdzie jest samica, a następnie znurował głęboko rozpościerając swe lawendowe skrzydła, czyli płetwy piersiowe, i ukazując szerokie lawendowe pasy na ciele. Stary pamiętał, że był piękny i że pozostał przy łodzi.

„To była najsmutniejsza rzecz, jaką u nich widziałem — myślał. — Chłopcu też było smutno, więc przeprosiliśmy rybę i zarznięliśmy ją szybko.”

— Chciałbym, żeby chłopiec tu był — powiedział głośno i oparł się o półokrągłą deski dzioba, czując poprzez trzymaną na ramionach linkę moc wielkiej ryby płynącej nieprzerwanie ku wiadomemu sobie celowi.

„No i przez mój podstęp musiał dokonać wybo-ru — pomyślał stary. — Jego wyborem było pozostać w głębokich, ciemnych wodach, daleko od wszelkich sideł, pułapek i podstępów. Moim wyborem było udać się tam po niego, daleko od wszystkich ludzi. Od wszystkich ludzi na świecie. A teraz jesteśmy złaczeni ze sobą i trwamy tak od południa. I nikt nie może dopomóc żadnemu z nas. Może nie powinienem był zostać rybakiem. Ale do tego właśnie się urodziłem. Muszę koniecznie pamiętać, żeby zjeść tuńczyka, jak się ro- widni.”

Na pewien czas przed brzaskiem coś pochwyciło jedną z przynęt, które zwisały w tyle. Usłyszał, że patyk pęka, a linka zaczyna wylaatywać przez burtę łodzi. W ciemnościach wydobył nóż z pochewki i przenosząc całe napięcie trzymanej linki na lewe ramię, odchylił się do tyłu i przeciął tamtą o drewnianą krawędź burty. Potem przeciął linkę, która była najbliższej, i po omacku związał wolne końce zapasowych zwójów. Pracował zgrabnie jedną ręką, a zwoje nadeptał, by je przytrzymać, kiedy dociegał węzły. Miał teraz sześć zwójów linki w zapasie. Było ich po dwa z każdej odciętej przynęty i dwa z tej, którą wzięła ryba, a wszystkie związane razem.

„Jak się rozwidni — pomyślał — podsunę się do tej czterdziestosątnowej linki, odetnę ją też i zwiążę zapasowe zwoje. Stracę dwieście sążni

dobrego katalońskiego *cordetu*, a także haki i przynęty. To można odkupić. Ale kto mi odkupi moją rybę, jeżeli złapię inną i ta mi ją odehnie? Nie wiem, co to za ryba wzięła w tej chwili przynętę. Mógł to być marlin albo ryba-miecz, albo rek. Nawet jej nie wyczułem. Za szybko musiałem jej się pozbyć.”

Głośno powiedział:

— Chciałbym tu mieć chłopca.

„Ale nie masz chłopca — pomyślał. — Masz tylko siebie samego i lepiej od razu podsunąć się do ostatniej linki, i chociaż jest jeszcze ciemno, odciąć ją i złaczyć oba zapasowe zwoje.”

Tak też zrobił. Trudne to było po ciemku; raz marlin szarpnął się, a stary padł na twarz i rozciął sobie skórę nad okiem. Krew pociekła mu po policzku. Ale zakrzepła i przyschła, zanim dotarła do brody, on zaś popelznął z powrotem na dziób i oparł się tam o deski. Poprawił worki i ostrożnie przesunął linkę tak, że znalazła się w innym miejscu ramienia; przytrzymując ją barkami starał się wyczuć ciężar ryby, a potem ręką sprawdził, jak tódź posuwa się po wodzie.

„Ciekawe, dlaczego on tak się szarpnął — pomyślał. — Może drut mu się osunął po wielkim wzgórzu grzbietu. Z pewnością plecy nie bolą go tak paskudnie jak mnie. Ale chyba nie może ciągnąć tej łodzi bez końca, choćby był nie wiem jaki wielki. Teraz już usunąłem wszystko, co mogłoby mi przeszkadzać, i mam duży zapas linki, a więcej człowiek żądać nie może.”

— Rvbo — powiedział łagodnie — zostanę z tobą, póki nie umrę.

„I ona też pewnie ze mną zostanie” — myślał stary i czekał, aż się rozwidni. Przed świtem zrobiło się zimno, więc przycisnął się do desek, żeby się rozgrzać. „Wytrzymam tak długo jak i ona” — pomyślał.

O pierwszym brzasku zobaczył linkę wyciągniętą daleko w głąb wody. Łódź płynęła nieprzerwanie i kiedy ukazał się pierwszy rąbek słońca, promienie padły na prawe ramię starego.

— Idzie na północ — powiedział.
— Prąd musi znieść nas daleko na wschód — myślał. — Dobrze byłoby, gdyby on płynął z prądem. To by wskazywało, że się męczy.”

Kiedy słońce podeszło wyżej, stary uświadomił sobie, że marlin się nie męczy. Jeden był tylko pomysłny znak. Kąt nachylenia linki wskazywał, że płynie na mniejszej głębokości. Nie musiało to oznaczać, że wyskoczy, ale mógł to zrobić.

— Boże, pozwól, żeby wyskoczył! — powiedział stary. — Mam dosyć linki, żeby dać sobie z nim radę.

„Może, jak zdołam trochę zwiększyć naprężenie, poczuje ból i wyskoczy — pomyślał. — Teraz, kiedy jest widno, niechże wyskakuje, bo wtedy napelni sobie powietrzem pęcherze wzdłuż kręgosłupa i nie będzie mógł zejść głęboko, żeby tam zdychać.”

Spróbował mocniej naprężyć linkę, ale odkład schwytał marlina, była napięta do samej granicy wytrzymałości; odchylając się w tył, ażeby ją napciągnąć, wyczuł jej sztywność i pojął, że więcej napinać jej nie może. „Nie wolno mi nią szarpnąć — pomyślał. — Każde szarpnięcie poszerza ranę zrobioną przez hak i kiedy ryba skoczy, może go wyrzucić. Tak czy owak lepiej się czuję przy słoncu i raz przynajmniej nie muszę w nie patrzeć.”

Do linki przywarły zote wodorostry, ale wiedział, że stawiają rybie dodatkowy opór, więc był zadowolony. Były to żółte wodorostry zatokowe, które tak fosforyzowały w nocy.

— Rybo — powiedział. — Kocham cię i szanuję bardzo. Ale zabiję cię, nim ten dzień się skończy.

„Miejmy nadzieję, że tak będzie” — pomyślał. Z północy nadleciał ku łodzi mały ptaszek. Był to drozd i leciał tuż nad wodą. Stary zauważył, że jest bardzo zmęczony.

Ptaszek sfrunął na rufę łodzi i tam przysiadł. Potem okrążył głowę człowieka i siadł na lince, gdzie było mu wygodniej.

— Ile masz lat? — zapytał go stary. — Czy to twoja pierwsza wyprawa?

Ptak patrzył na mówiącego. Był zbyt zmęczony, aby obejrzeć linkę, i kolysał się ściskając ją mocno delikatnymi łapkami.

— Sztyna jest — powiedział mu stary. — Az za sztywna. Nie powinienś być tak zmęczony po bezwietrznej nocy. Co to się robi z tymi ptakami!

„Nad morze wylatują im na spotkanie jastrzębie” — pomyślał. Ale nie powiedział tego ptakowi, który i tak nie mógł go zrozumieć, a o jastrzębiach miał się dowiedzieć aż za przędko.

— Odpocznij sobie dobrze, ptaszku — rzekł. — A potem leć i zaryzykuj jak każdy człowiek, ptak czy ryba.

Mówienie pokrępięło go na duchu, bo w nocy plecy mu zdrętwiały i bolały teraz naprawdę.

— Zostań w moim domu, jeżeli chcesz, ptaku — powiedział. — Żałuję, że nie mogę wciągnąć żagla i zabrać cię na łódź z tą lekką bryzą, która się zrywa. Ale jestem tu z przyjaciелеm.

Właśnie w tej chwili ryba szarpnęła się nagle, a stary padł na dziób łodzi i byłby wyleciał za burzę, gdyby nie zaparł się mocno i nie wypuścił trochę linki.

Ptak zerwał się w chwili, gdy nastąpiło szarpnięcie, i stary nawet nie zauważył jego odlotu. Pomacał ostrożnie linkę prawą ręką i spostrzegł, że dłoń mu krwawi.

— Coś go zabolalo — powiedział na głos i po-

czną ciągnąć za linkę, by się przekonać, czy zdoła ruszyć marlina. Gdy jednak była już bliska pęknięcia, przestał i przytrzymał ją napiętą.

— Czujesz to teraz, rybo — powiedział. — A Bóg świadkiem, że i ja także.

Rozejrzał się za ptakiem, bo miłe byłoby mu jego towarzystwo. Ale ptaka nie było.

„Niedługo tu siedziałeś — pomyślał. — Ale tam, gdzie leciśz, gorzej ci będzie, zanim dotrzesz do brzegu. Jakże mogłem pozwolić, żeby ryba tak mnie skaleczyła tym jednym szybkim szarpnięciem? Widocznie całkiem głupieję. A może trzałem na ptaszka i o nim myślałem? Teraz pa-pię uwagę na swojej robocie, a poza tym muszę zjeść tuńczyka, żeby mi sił nie zabrakło.”

— Chciałbym tu mieć chłopca, a także trochę soli — powiedział głośno.

Przeniosł ciężar linki na lewy bark i ułkalszy ostrożnie, obmył rękę w morzu i przytrzymał ją zanurzoną przez minutę z górą, patrząc, jak krew wysnuwa się z niej, a woda przepływa po dłoni w miarę ruchu łodzi.

— Porządnie zwołnił — powiedział.

Chętnie by dłużej trzymał dłoń w słonej wodzie, ale obawiał się, że ryba znów szarpnie, więc wstał, zaparł się mocno i podniósł rękę ku słońcu. Było to tylko piekące skaleczenie od linki, która rozciąła mu dłoń. Ale znajdowało się na jej wewnętrznej, pracującej stronie. Wiedział, że nim to wszystko się skończy, ręce będą mu potrzebne, więc nierad był, że linka go skaleczyła, zanim się coś zaczęło.

— Teraz — powiedział, kiedy ręka obeschła — muszę zjeść tego małego tuńczyka. Mogę go sięgnąć oseekiem i zjeść tutaj wygodnie.

Ułkął, wymacał oseekiem tuńczyka pod rufą i przyciągnął go do siebie, uważając, żeby nie zahaczyć o zwoje. Przytrzymał linkę na lewym

ramieniu i podpartszy się lewą ręką, zdjął rybę z haka, a osęk odłożył na miejsce. Przycisnął tuńczyka kolanem i zaczął odkrawać podłużne pasma ciemnoczerwonego mięsa od łba aż po ogon. Były one klinowatego kształtu, a ciąż je od kręgosłupa do brzucha. Ukrajawszy sześć pasków, rozłożył je na deskach dzioba, otarł nóż o spodnie, podniósł szkielet za ogon i wyrzucił za burtę.

— Chyba nie zjem całego — powiedział i przeciął w poprzek jeden z pasków. Czuł nieprzerwane, twarde napięcie linki, a w lewej ręce chwycił go kurecz. Zacisnęła się mocno na ciężkim sznurze i stary spojrzął na nią z odrazą.

— Cóż to za ręka — powiedział. — Kurecz się, jeśli chcesz. Przemień się w szpon. Nic na tym nie skorzystasz.

„No, dalej — pomyślał i spojrzął w ciemną wodę na skośnie biegnącą linkę. — Pojedz teraz, to ręka ci się wzmocni. To nie jej wina, bo już wiele godzin jesteś z tą rybą. Ale nie możesz przy niej tkwić bez końca. Zjedz teraz bonito.”

Wziął kawałek, włożył do ust i począł z wolna przeżuwać. Nie było to nieprzyjemne.

„Żuj dobrze — myślał — i wyssij wszystkie soki. Niezłe by to było jedzenie z odrobiną cytryny albo solą.”

— Jakże się czujesz? — zapytał zdrętwiałej ręki, która była niemal równie sztywna jak ciało trupa. — Ziemi jeszcze trochę dla ciebie.

Zjadł drugą część kawałka, który przeciął na pół. Przeżuł go starannie, po czym wypłuł skórę.

— No, jak tam, ręko? A może jeszcze za wcześnie pytać?

Wziął następny pasek mięsa i przeżuł go w całości.

„To silna, pehnokrwista ryba — pomyślał. — Miałem szczęście, żem złapał ją, a nie delfina

Delfin jest za słodki. Ta prawie wcale nie jest słodka, a ma w sobie siłę.”

„Tylko praktyczność ma sens — myślał. — Chciałbym mieć trochę soli. I nie wiem, czy słońce zepsuje, czy wysuszy to, co zostało, więc lepiej zjeść wszystko, chociaż nie jestem głodny. Marlin płynie spokojnie i równo. Zjem wszystko i potem będę gotów.”

— Cierpliwości, ręko — powiedział. — Robię to dla ciebie.

„Chętnie bym nakarmił marlina — pomyślał. — To mój brat. Ale muszę go zabić i zachować na to siły.” Powoli i sumiennie zjadł wszystkie kłownate paski rybiego mięsa.

Wyprostował się ocierając rękę o spodnie.

— No — powiedział. — Możesz puścić linkę, ręko. Będę sobie z nią radził samą prawą, dopóki nie skończysz z tymi bzdurami. — Przydeptał lewą stopą napiętą linkę, którą przedtem trzymał w lewej ręce, i pochylił się, żeby stawić opór naciskowi na grzbiet.

— Boże, dopomóż, żeby mnie kurcz puścił — powiedział. — Bo nie wiem, co ten marlin zrobi. „Jednak wydaje się spokojny — pomyślał — i działa według planu. Tylko jaki jest jego plan? A mój? Mój muszę wymyślać na poczekaniu, załóżnie od tego, co robi on, bo przecie jest taki wielki. Jeżeli wyskoczy, będę mógł go zabić. Ale on za nie chce się stanąć ruszyć. Więc i ja się od niego nie ruszę.”

Potań zadrętwiała ręka o spodnie i próbował rozluźnić palce. Dłoń nie chciała się jednak rozzerzeć. „Może otworzy się na słońcu — pomyślał. — Może otworzy się, kiedy strawię tego silnego, surowego tuńczyka. Jeżeli będzie trzeba, otworzę ją, choćby mnie to nie wiedzieć ile kosztowało. Ale nie chcę jej teraz otwierać siłą. Niech się otworzy sama, niech przyjdzie do siebie

z własnej woli. Bądź co bądź, mocno jej nadużyłem w nocy, kiedy trzeba było uwolnić i złaczyć te różne linki.”

Popatrzył na morze i pojął, jak bardzo jest teraz samotny. Ale w ciemnej głębinie widział przymatny i naciągniętą linkę, i dziwne falowania gładkiej wody. Obłoki piętrzyły się w oczekiwaniu pasatu; spojrzal przed siebie i dostrzegł stado dzikich kaczek, które zarzysowało się nad wodą na tle nieba, potem się zagubiło i ukazało znowu — i wiedział już, że nikt nie jest nigdy samotny na morzu.

Przyszło mu na myśl, jak to niektórzy ludzie lekają się stracić łąd z oczu, gdy płyną małą łódką, i uznał, że mają słuszność w miesiicach nagłej niepogody. Ale teraz były miesiące huraganów, a jeżeli nie ma huraganu, pogoda w tych miesiicach bywa najlepsza w całym roku.

„Kiedy idzie huragan, zawsze na wiele dni przedtem widzi się na niebie jego oznaki, jeżeli się jest na morzu. Z łądu tego nie dostrzegają, bo nie wiedzą, czego trzeba wypatrywać — pomyślał. — Poza tym łąd musi też zmieniać kształt obłoków. Ale teraz nie zbliża się huragan.”

Spojrzal na niebo i zobaczył białe kumulusy spiętrzone jak dobroliwe masy kremu; daleko nad nimi na tle wysokiego wrzesniowego nieba widział cienkie pasma obłoków pierzastych.

— Lekka bryza — powiedział. — Lepsza pogoda dla mnie niż dla ciebie, rybo.

W lewej ręce nadal czuł kurcz, ale rozwierał ją z wolna.

„Nienawidzę kurczu — pomyślał. — To zdrada ze strony własnego ciała. Upokarzające jest wobec innych dostać biegunki po zatruciu nieświeżym jedzeniem albo też rzygać po tym. Ale kurcz (nazywał go w myśli *calambre*) szczególnie upokarza człowieka samotnego. Gdyby chłopiec tu był,



mógłby mi rękę rozetrzeć i rozluźnić od przedramienia. Ale jakoś sama się rozluźni.”

W tej chwili wyczuł prawą ręką różnicę w napięciu linki, jeszcze nim zauważył, że jej kąt w wodzie się zmienił. A potem, kiedy pochylił się naciągając ją i zaczął silnie, szybko strzepywać lewą ręką o udo, spostrzegł, że linka podnosi się z wolna.

— Wypływa — powiedział. — No, chodź, rybo. Proszę cię, chodź!

Linka podnosiła się wolno i nieprzerwanie, a potem powierzechnia oceanu wzdęła się przed łodzią i marlin wypłynął. Wynurzał się bez końca, a woda sphywała strumieniami z jego boków. Lśnił w słońcu, głowa i grzbiet były ciemnofioletowe, a w świetle widniały pasy na jego ciele, szerokie, jasnolawendowego koloru. Miecz miał długi jak pałka baseballowa, spiczasty jak rapier; wypłynął z wody na całą długość, następnie po-grążył się znowu niby nurek, a stary ujrzał, jak znika ogromna kosa jego ogona, po czym linka zaczęła wylatywać za burłę.

— Jest o dwie stopy dłuższy od łodzi — powiedział stary. Linka sunęła szybko, lecz równo; ryba nie była spłoszona. Stary próbował oburącz przytrzymać linkę, uważając, żeby nie przekroczyć granicy jej wytrzymałości. Wiedział, że jeśli starym naciskiem nie zmusi ryby do zwolnienia, marlin wybierze mu całą linkę i wreszcie ją urwie.

„Wielka z niego sztuka i muszę go jakoś zmóc — pomyślał. — Nie wolno dać mu poznać jego własnej mocy ani tego, co mógłby zrobić, gdyby się rzucił do ucieczki. Na jego miejscu zebrałbym teraz wszystkie siły i gnał, póki się coś nie urwie. Ale, Bogu dzięki, ryby nie są tak mądre jak ci, co je zabijają, chociaż są szlachetniejsze i zręczniejsze.”

Stary widział już wiele dużych ryb. Widował sztuki, które ważyły ponad tysiąc funtów, i złożył w swoim życiu dwie takich rozmiarów, ale nie zrobił tego w pojedynkę. Teraz, samotny, daleko od łądu, trzymał na haku największą rybę, jaką kiedykolwiek oglądał, większą od wszystkich, o jakich słyszał, a jego lewa ręka była nadal skurczona nieczym zacisnięte szpony orła.

„Przecież się jednak rozkurczy — myślał. — Z pewnością się rozkurczy, żeby pomóc prawej. Trzy rzeczy są siostrami: ryba i moje dwie ręce. Musi się rozkurczyć. To jej niegodne, żeby była drętwa.” Marlin zwołnit znowu i płynął swoim zwykłym tempem.

„Ciekawe, dlaczego wyskoczył — pomyślał stary. — Z pewnością chciał mi pokazać, jaki jest wielki. Teraz już wiem w każdym razie. Chciałbym, żeby zobaczył, co ze mnie za człowiek. Ale znów wtedy zauważyłby, że mam kurcz w ręce. Niech myśli, że jestem sprawniejszy, niż jestem, to będę taki. Chciałbym być na jego miejscu i mieć to wszystko, co on ma przeciwno tylko mojej woli i rozumowi.”

Oparł się wygodnie o deski i przyjmował swoje cierpienie w miarę, jak przychodziło; ryba płynęła równo, a łódka posuwała się wolno po ciemnej wodzie. Nadlatujący ze wschodu wiatr wzdął lekko morze, a w południe kurcz puścił lewą rękę starogo.

— Złe mam nowiny dla ciebie, rybo — powiedział stary i przeniósł linkę na worek, który okrywał mu ramiona.

Było mu wygodnie, ale cierpiał, choć nie przyznawał się do cierpienia.

— Nie jestem religijny — powiedział — ale odmówię dziesięć *Ojcze nasz* i dziesięć *Zdrowaś Mario*, żeby złapać tę rybę, i przyrzekam od-

prawie pielgrzymkę do Najświętszej Panny z Cobre, jeżeli mi się uda. To obiecane.

Zaczął mechanicznie odmawiać modlitwy. Chwilami ogarniało go takie znużenie, że nie mógł sobie przypomnieć słów, i wtedy mówił je przedko, a żeby wyszły automatycznie. „Zdrowaśki łatwiejsze są do odmawiania niż ojczenasze” — pomyślał.

— Zdrowaś Mario, łaskis pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twójego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. — A potem dodał: — Najświętsza Panienko, pomódl się o śmierć tej ryby. Choć taka jest wspaniała.

Zmówiłszy modlitwy poczuł się znacznie lepiej, chociaż cierpiał dokładnie tak samo, a może nawet trochę więcej niż przedtem; oparł się o deski dzioba i zaczął mechanicznie przebierać palcami lewej ręki.

Słońce było teraz gorące, chociaż bryza wzmagala się lekko.

— Lepiej założyć z powrotem przygnętą na tę małą linkę na rufie — powiedział. — Jeżeli ryba postanowi przetrzymać następną noc, będę musiał znowu coś zjeść, a wody jest mało w butelce. Nie myślę, żebym mógł tutaj złapać cokolwiek prócz delfina. Ale jeżeli go zjem na świeżo, nie będzie taki zły. Chciałbym, żeby mi się dzisiaj wieczorem trafiła latająca ryba. Tylko że nie ma świątła, aby ją zwać. Latająca ryba jest doskonała na surowo i nie trzeba by jej rozcinać. Muszę teraz oszczędzać wszystkie siły. Chryste Panie, nie miałem pojęcia, że on jest taki wielki.

— A przecież go zabije — powiedział. — W całej jego wielkości i chwale.

„Chciał to jest niesprawiedliwe — pomyślał. — Ale pokażę mu, co potrafi człowiek i co człowiek może wytrzymać.”

— Powiedziałem chłopcu, że ze mnie dziwny staruch — rzekł. — Teraz właśnie muszę tego dowieść.

Tysiączne przypadki, w których już tego dowiódł, nie miały żadnego znaczenia. Obecnie dowodził tego ponownie. Za każdym razem zaczynał od nowa i ani przez chwilę nie myślał wtedy o przeszłości.

„Dobrze by było, żeby zasnął i żebym ja mógł usnąć i śnić o lwach — pomyślał. — Dlaczego lwy są najważniejszą rzeczą, jaka mi pozostała? Nie zastanawiaj się, stary — powiedział do siebie. — Oprzyj się teraz lekko o deski i nie myśl o niczym. On się wysila. Ty wisilaj się jak najmniej!”

Zbliżał się wieczór, a łódź wciąż płynęła powoli i równo. Teraz jednakże bryza od wschodu stawiała dodatkowy opór i stary łagodnie kołysał się na niewielkich falach, a ból od ucisku linki, biegnącej mu przez plecy, wydawał się gładki i łatwy.

Raz po południu linka zaczęła podnosić się znów. Ale ryba płynęła dalej, tyle że na nieco mniejszej głębokości. Słońce padało starem na lewą rękę i ramię, i na plecy. Wiedział więc, że marlin skręcił na północ-wschód.

Teraz, kiedy już go zobaczył, mógł sobie wyobrazić, jak płynie, rozpostarwszy fioletowe płetwy piersiowe szeroko niczym skrzydła, i tnie w morzu wodę ogromnym, wyprostowanym ogonem. „Ciekawe, czy on dużo widzi na tej głębokości — pomyślał stary. — Oczy ma wielkie, a koń widzi po ciemku znacznie mniejszymi. Kiedyś widziałem bardzo dobrze w ciemnościach. Nie w całkowitych ciemnościach. Ale prawie tak jak kot.”

Słońce i ciągle przebieganie palcami sprawiło, że ręka rozkurczyła mu się teraz zupełnie, więc zaczął przenosić na nią coraz to więcej napięcia i poruszył mięśniami grzbietu, żeby nieco przesuwać cisnącą go bolesnie linkę.

— Jeżeliś się nie zmęczyła, rybo — powiedział na głos — to musisz być bardzo dziwna.

Czuł się już ogromnie znużony, wiedział, że niedługo przyjdzie noc, i usiłował myśleć o czym innym. Myślał o wielkich rozgrywkach ligowych — dla niego były to *Gran Ligas* — i o tym, że „Jankeści” z Nowego Jorku grają z „Tigres” z Detroit.

„Już drugi dzień nie mam wiadomości o wnikach *juegos* — pomyślał. — Ale muszę ufać i być godnym wielkiego Di Maggio, który wszystko robi doskonale, chociaż ma bóle pięty od ostrogi kostnej. Co to jest taka ostroga? — zapytał sam siebie. — *Un espuela de bueso*. My tego nie niewamy. Czy może być tak bolesne jak ukłucie w piętę ostrogą, którą zakłada się kogutom do walki? Nie myślę, żebym potrafił wytrzymać to albo utratę oka czy obu oczu i dalej bić się, jak to robią walczące koguty. Człowiek niewiele może w porównaniu do wielkich ptaków i zwierząt. A jednak wolałbym być tą rybą tam, w ciemnościach oceanu.”

— Jeżeli nie zjawia się rekiny — powiedział na głos. — Jak przyjdą rekiny, wtedy niech Bóg się zmiłuje nad nią i nade mną.

„Sądysz, że wielki Di Maggio pozostałby przy rybie tak długo, jak ja zostanie przy tej? — pomyślał. — Z pewnością tak, a nawet dłużej, bo jest młody i silny. Poza tym jego ojciec był rybakiem. Ale czy ta ostroga nie bolałaby go za nadto?”

— Nie wiem — powiedział. — Nigdy nie miałem takiej ostrogi.

Kiedy słońce zaszło, wspomniął chcąc dodać sobie ducha, jak to niegdyś w szynku w Casablance próbował się na rękę z wielkim Murzynem z *Cien-fuegos*, który był najsilniejszym człowiekiem w porcie. Cały dzień i noc trwali oparty łokciem

na linii wykreślonej kredą na stole, z przedramionami sterczącymi w górę i twardo splecionymi dłońmi. Jeden i drugi usiłował przegiąć rękę przeciwnika do stołu. Robiono liczne zakłady, ludzie wchodzili i wychodzili z izby oświetlonej lampami naftowymi, a on patrzył na ramię i rękę Murzyna, i na jego twarz. Po pierwszych ośmiu godzinach zmieniano sędziów co cztery następane, ażeby mogli się przespać. Spod paznokci jego i Murzyna sączyła się krew, obaj patrzyli sobie w oczy, na ręce i przedramiona, a widzowie wchodzili i wychodzili, siadali na wysokich krzesłach pod ścianą i przyglądali się. Ściany były drewniane, pomalowane na jaskrawoniebieski kolor, a lampy rzuciły na nie cienie ich dwóch. Cień Murzyna był olbrzymi i drgał na ścianie, gdy powiew poruszał płomyki lamp.

Przez całą noc zmieniali się zakłady; Murzyna pokrzepiano rumem i zapalano mu papierosy. Murzyn tyknąwszy rumu zbierał się na potężny stasiłek i raz przegiął prawie o trzy cale rękę statego, który wtedy nie był starym, ale Santiago El Campeon. Mimo to stary znów zdołał podnieść rękę do równego pionu. Miał już wtedy pewność, że pobije Murzyna, który był wspaniałym chłopcem i nie byłby atletą. I o świcie, kiedy widzowie robiący zakłady domagali się, żeby ogłosić nierozegraną, a sędzia potrząsał głową, stary zebrał wszystkie siły i przegiął rękę Murzyna w dół, w dół, póki nie spoczęła na stole. Próba zaczęła się w niedziele rano, a skończyła w poniedziałek o tej samej porze. Wielu z zakładających się prosiło o ogłoszenie nierozegranej, ponieważ musieli iść do doków, aby ładować worki z cukrem, albo do pracy w Hawańskiej Kompanii Węglowej. Gdyby nie to, każdy by chciał, żeby spotkanie doprowadzono do końca. Ale stary i tak je zakon-

czył, i to zanim ktokolwiek musiał odejść do roboty.

Przez długi czas potem wszyscy nazywali go Czempionem, a wiosną nastąpiło spotkanie rewanżowe. Zakłady były jednak niewysokie, on zaś wygrał z zupełną łatwością, bo w pierwszej próbie złamał pewność siebie Murzyna z Cienfuegos. Potem miał jeszcze kilka spotkań, a później nie było już ich więcej. Doszedł do wniosku, że może pokonać każdego, jeżeli dostatecznie się uprze, i uznał, że szkodzi to jego prawej ręce przy połowach. Kilkakrotnie przeprowadzał ćwiczebne próby lewą. Ale lewa ręka była zawsze zdrajczynią, nie chciała robić tego, czego od niej żądał, więc jej nie ufał.

„Teraz słońce dobrze ją wypiecze — pomyślał. — Nie powinna już mi się kurczyć, chyba że nocą zanadto zziębnie. Ciekaw jestem, co też ta noc przyniesie.”

W górze przeleciał samolot zdążający do Miami i stary obserwował, jak jego cień płoszy ławice latających ryb.

— Jeżeli tu jest tyle tych ryb, powinny być i delfiny — powiedział i odchyliwszy się w tył, pociągnął linkę, żeby się przekonać, czy można jej wybrać choć trochę. Nie zdołał jednak tego zrobić, a linka, drżąc i pryskając kropelkami wody, zatrzymała się w punkcie naprężenia, który poprzedzał pęknięcie. Łódź z wolna płynęła dalej, a stary śledził samolot, póki nie zniknął mu z oczu.

„Musiał być bardzo dziwnie w samolocie — pomyślał. — Ciekawe, jak wygląda morze z takiej wysokości? Powinni dobrze widzieć ryby, jeżeli nie lecą za wysoko. Chciałbym lecieć bardzo wolno, dwieście sążni nad wodą, i oglądać ryby z góry. Na kutrach żółtawych wlażem na saling masztu i nawet z takiej wysokości wiele widzia-

tem. Delfiny wydają się stamtąd bardziej zielone i można dojrzeć ich pasy i fioletowe cętki, i całą ławicę, jak płyną. Dlaczego wszystkie szybkie ryby z ciemnego nurtu mają fioletowe grzbiety, a zwykle i fioletowe pasy albo cętki? Naturalnie, delfin wydaje się zielony, bo w rzeczywistości jest zielony. Ale kiedy wypływa na żer i jest naprawdę głodny, występują mu na bokach fioletowe pasy, takie jak u marlina. Czyżby to gniew je wywoływał, czy może zwiększona szybkość?”

Tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy mijali ogromną wyspę wodorostów sargasowych, która wzdymała się i kołysała na lekkich falach, jak gdyby ocean kochał się z czymś pod żółtą koldrą, małą linkę pochwycił delfin. Stary zobaczył go, kiedy delfin wyskoczył w górę, szczerozioty w ostatnich promieniach słońca, wyginający się i dziko roztrzepotany w powietrzu. Wyskakiwał ciągle od nowa, powtarzając swoje oszalałe łamańce, a stary przedostał się na rufę, kucał, i przytrzymałszy dużą linkę prawą ręką i dłońią, lewą zaczął ciągnąć delfina, za każdym razem nadeptując wybrany kawałek linki bosą lewą stopą. Kiedy ryba znalazła się przy rufie, nurkując i miotając się rozpaczliwie z boku na bok, stary wychylił się i wciągnął ją przez burłę, złocistą i połyskliwą, znaczoną fioletowymi cętkami. Szczeki jej zwierały się na haku konwulsyjnymi szybkimi kłapięciami, łomotała o dno łodzi swym długim, płaskim ciałem, łbem i ogonem, póki nie uderzył jej patką po tej łniącei, złocistej głowie, a wtedy zadrzęła i legła bez ruchu.

Stary zdjął ją z haka, założył nową sardynkę i rzucił przynętę za burłę. Potem powoli wrócił na dziób. Obmył lewą rękę i wytarł ją o spodnie. Następnie przełożył ciężką linkę z prawej ręki do lewej i opukał prawą dłoń obserwując pogrą-

żanie się słońca w morzu oraz kąć nachylenia dużej linki.

— Nie się u niego nie zmienia — powiedział. Ale śledząc ruch wody przepływającej po dłoni, zauważył, że jest wyraźnie wolniejszy

— Przywiążę oba wiosła w poprzek rufy, bo to go w nocy zmusi do zwolnienia — powiedział. — Jest gotów przetrzymać noc, ale i ja także.

„Lepiej byłoby wypatroszyć tego delfina trochę później, żeby zatrzymać krew w mięsie — pomyślał. — Mogę to zrobić potem, a jednocześnie przywiązać wiosła, żeby wytworzyć opór. Powiniennem teraz zostawić marlina w spokoju i nie przeszkadzać mu zanadto o zachodzie. Zachód słońca to trudna pora dla wszystkich ryb.”

Osuszył rękę w powietrzu, po czym chwycił nią linkę, odprężył się, jak mógł, i pozwolił pociągnąć się w przód do samych desek dzioba, tak że łódź przejechała teraz napięcie w równej lub nawet większej mierze niż on.

„Uczę się, jak to robić — pomyślał. — W każdym razie tę część roboty. Poza tym trzeba pamiętać, że marlin nie nie jadł, odkąd wziął przynętę, a jest ogromny i trzeba mu dużo żarcia. Ja zjadłem całego bonito. Jutro zjem delfina. (Nazywał go dorado.) Może powinienem zjeść trochę, kiedy go oczyszczę. Trudniej go będzie jeść niż bonito. No, ale nic nie jest łatwe.”

— Jak się tam czujesz, rybo? — zapytał głono. — Bo ja dobrze, a z moją lewą ręką jest już lepiej i mam pożywienie na noc i na dzień. Ciągnij łódź, rybo.

Prawdę mówiąc nie czuł się dobrze, gdyż ból od linki, uciskającej mu plecy, nieomal przekroczył już bolesność i przeszedł w tępe uczucie, które wydawało się starym podejrzane. „Ale miałem już gorsze rzeczy — pomyślał. — Rękę mam trochę skaleczoną, a drugą puścił kurcz-

Nogi są w porządku. Prócz tego jestem nad nim górą, jeżeli idzie o odżywienie.”

Było teraz ciemno, bo we wrzesniu zmrok szybko zapada po zachodzie słońca. Stary leżał oparty o starą deskę dzioba i odpoczywał, jak mógł. Ukazywał się pierwsze gwiazdy. Nie znał nazwy „Rigel”, ale dojrzał tę gwiazdę i wiedział, że niedługo pojawią się wszystkie i że będzie miał przy sobie swoich dalekich przyjaciół.

— Marlin jest także moim przyjacielem — powiedział na głos. — Jeszcze nie widział ani nie słyszał o takiej rybie. Mimo to muszę go zabić. Cieszę się, że nie musimy próbować zabijać gwiazd.

„Co by to było, gdyby człowiek musiał co dzień próbować zabić księżyc? Księżyc ucieka. A gdyby tak co dzień trzeba było zabijać słońce? W czym się rodził?” — pomyślał.

A potem żał mu się zrobiło tej wielkiej ryby, która nie miała się czym pożywić, ale jego postanowienie, że musi ją zabić, nie osłabło ani na chwilę wśród owego żalu. „Już ludzi ona nakarmi!” — pomyślał. — Tylko czy oni są warci tego, żeby ją jeść? Nie, oczywiście, że nie. Sądząc po jej postępowaniu i wielkiej godności, nikt nie jest tego wart.”

„Nie rozumiem się na tych rzeczach — myślał. — Ale dobrze, że nie musimy zabijać słońca, księżyc czy gwiazd. Wystarczy, że żyjemy na morzu i zabijamy naszych prawdziwych braci. Teraz muszę pomyśleć o tym hamowaniu wiosłami. Ma to swoje wady i zalety. Mogę stracić tyle linki, że utracę i jego, jeżeli zbierze się na wyсіtek, a opór wiosel nie ustąpi i łódź postrada całą swą lekkość. Ta lekkość wprawdzie przędłuża nasze wspólne cierpienie, ale jest także moim bezpieczeństwem, bo on ma wielką szybkość, której jeszcze dotąd nie wykorzystał. Co będzie,

to będzie, ale muszę wypatroszyć delfina, żeby się nie zepsuł, i zjeść trochę, aby nabrać sił. Od-pocznę teraz jeszcze z godzinkę i dopiero, jak poczuję, że płynię równo i spokojnie, przejdę na rufę, żeby zabrać się do roboty i coś postanowić. Tymczasem będę mógł zobaczyć, co robi i czy widać w nim jakieś zmiany. Z tymi wiosłami to dobra sztuczka, ale już przyszyła pora grać na per-wniaka. Bądź co bądź, to wciąż jeszcze tęga ryba; widziałem, że hak ma w kacie pyska, a szczęki trzyma zacisnięte. Męka haka to jeszcze nic. Męka głodu i to, że boryka się z czymś, czego nie rozumie — to jest wszystko. Odpocznij teraz, stary, i pozwól mu pracować, póki nie przyjdzie twoje następne zadanie.”

Odpoczywał, jak mu się wydawało, że dwie godziny. Księżyc wschodził teraz późno, nie miał więc sposobu określenia pory. W gruncie rzeczy odpoczywał tylko względnie. Wciąż trzymał na ramionach ciężar ciągnącej ryby, tyle że uchwycił lewą ręką krawędź dzioba i przenosił na samą łódź coraz więcej i więcej oporu, który stawiał marlinowi.

„Jakież by to było proste, gdybym mógł zamocować linkę! — myślał. — Ale on mógłby ją zerwać jednym niewielkim szarpnięciem. Muszę własnym ciałem łagodzić napięcie linki i każdej chwili być gotów oddać mu ją obiema rękami.”

— Aleś ty jeszcze nie spał, stary — powiedział. — Minęło już pół dnia, noc, a teraz nastę-pny dzień, jak nie zmrzyłeś oka. Musisz obmyślić jakiś sposób, żeby trochę się zdrzemnąć, o ile on będzie płynął spokojnie i równo. Jeżeli się nie prześpisz, może ci się zmnąć w głowie.

„W głowie mam dostatecznie jasno — pomyślał. — Aż za jasno. Taka jest jasna jak te gwiazdy, które są moimi siostrami. Mimo to muszę się przespać. Bo one sypiają, sypia księżyc i słoń-

ce, i nawet ocean czasem drzemnie w pewne dni, kiedy nie ma prądu i jest gładka cisza morską. — Znuż „Pamiętaj, żeby się przespąć — myślał. — Znuż się do tego i wykombinuj jakiś prosty a pewny sposób na linki. Teraz idź i przygotuj delfina. To za duże ryzyko uwiązować wiosła dla oporu, jeżeli musisz iść spać.”

„Mógłbym dać radę bez spania — powiedział do siebie — ale to byłoby zanadto niebezpieczne.”

Popelznął na czworakach ku rufie, uważając, żeby nie szarpać ryby. „Może on sam też na wpół drzemie — pomyślał. — Ale ja nie chcę, żeby odpoczywał. Musi ciągnąć, póki nie zdechnie.”

Na rufie obrócił się tak, że lewa ręka przetrzymywała na barkach napiętą linkę, prawą zaś dobył z pochewki nóż. Gwiazdy świeciły teraz jasno, delfina widział wyraźnie, więc wbił mu w głowę ostrze i wywłócił spod rufy. Przycisnął go stopą i rozciął szybko od odbytnicy aż po sam koniec dolnej szczęki. Następnie odłożył nóż i wypatroszył rybę prawą ręką, wybierając wewnętrzności do czysta i odrywając skrzela. Poczul w dłoni ciężki, śliski żołądek i rozciął go. Wewnątrz znalazły się dwie latające ryby. Były świeże i jedrne, więc je położył jedną obok drugiej, a skrzela i wnętrzności wyrzucił za rufę. Opadły w dół, pozostawiając w wodzie fosforyzujący szlak.

Delfin był zimny, a w świetle gwiazd miał jakąś trędowatą, szarobiałą barwę; stary, przycisnąwszy łeb prawą stopą, odart ze skóry jeden bok ryby. Potem obrócił ją, ściągając skórę z drugiego boku i odkrajał z obu stron mięso od głowy aż do ogona.

Spuszczył szkielec za burtę i wyrzucił, by się przekonać, czy w wodzie nie ma wiru. Ale dostrzegł tylko świetlistość wolno opadającego szkieletu. Obrócił się więc, włożył latające ryby między dwa odkrajane kawałki delfina, schował nóż do

pochwy i z wolna począł przesuwać się na dziób. Grzbiet miał przygięty pod ciężarem linki, a ryby niósł w prawej ręce.

Wróciwszy na dziób rozłożył na deskach oba kawałki delfina, a przy nich latające ryby. Następnie ulokował linkę w nowym miejscu ramienia i przytrzymał ją znów lewą ręką, oparłszy się o burtę. Potem wychylił się i opłukał latającą rybę, notując sobie w pamięci szybkość wody przepływającej po dłoni. Dłoń fosforyzowała po oprawieniu delfina; obserwował przepływającą po niej wodę. Prąd był słabszy, a kiedy stary potarł o deski łodzi bokiem ręki, oderwały się od niej cząsteczki fosforu i spłynęły powoli za rufę.

— Zaczyna się męczyć albo odpoczywa — powiedział. — Teraz trzeba się wziąć do zjedzenia tego delfina, wypocząć trochę i przespąć się odrobine.

Przy świetle gwiazd, wśród nocy, która robiła się coraz chłodniejsza, zjadł pół kawałka delfina i jedną latającą rybę, uprzednio wypatroszwszy ją i odciąższy głowę.

— Jaki doskonały jest delfin gotowany — powiedział. — A jaki obrzydliwy na surowo. Więcej już nie popłynę bez soli albo cytryn.

„Gdybym miał rozum, byłbym przez cały dzień rozpryskiwał wodę na dziobie, to po wyschnięciu zostałaby sól — pomyślał. — Tylko że tego delfina złowilem dopiero pod zachód. A jednak to był brak przygotowania. Ale dobrze wszystko przeżumem i jakoś mnie nie zemdlilo.”

Niebo chmurzyło się na wschodzie i gwiazdy, które znał, zniknęły jedna po drugiej. Wydawało mu się teraz, że wplywa jakby w olbrzymi kamion chmur, a wiatr ustał zupełnie.

— Za trzy albo cztery dni przyjdzie niepogoda — powiedział stary. — Ale nie dzisiaj ani ju-

tro. Gotuj się teraz do snu, póki ryba plynie spokojnie i równo.

Przytrzymał mocno linkę prawą ręką, którą następnie przycisnął udem, jednocześnie opierając się całym ciężarem o deski dzioba. Potem umieścił linkę nieco niżej na ramieniu i chwycił ją silnie lewą dłonią.

„Moja prawa może ją trzymać, póki jest przycisnięta — pomyślał. — Jeżeli puści przez sen, zbudzi mnie lewa, jak linka znacznie wylatywać. Ciężkie to dla prawej ręki. Ale przyzwyczajona jest do cierpienia. Nawet jeżeli pośpię dwadzieścia minut czy pół godziny, dobre będzie i to.” Pochylił się do przodu i położył przywierając całym sobą do linki, przycisnął prawą rękę ciężarem własnego ciała i zaraz usnął.

Nie śniły mu się lwy, ale ogromna ławica delfinów, rozciągająca się na osiem czy dziesięć mil. Był to czas godów i delfiny wyskakiwały wysoko w powietrze spadając w ten sam lej, który trwał jeszcze w wodzie po ich skoku.

Potem przysniło mu się, że jest w wiosce i leży na łóżku, że wieje północny wiatr, i było mu bardzo zimno, i prawą rękę miał drętą, bo trzymał głowę na niej zamiast na poduszce.

Później zaczął śnić o długiej, żółtej plaży i ujrzał pierwsze lwy schodzące na nią o wczesnym zmierzchu, a po nich nadeszły inne, on zaś wsparł brodę na krawędzi dzioba statku, stojącego na kotwicy pośród wieczornej bryzy wiejącej od lądu, i czekał, czy nie przyjdzie jeszcze więcej lwów, i był szczęśliwy.

Księżyc już wzeszedł od dawna, ale on spał dalej, ryba ciągnęła nieprzerwanie, a kół wplynęła w tunel obłoków.

Zbudziło go szarpnięcie prawej pięści, która uderzyła go w twarz, i palenie w dłoni, przez którą sunęła linka. W lewej ręce nie miał czucia,

lecz prawą przytrzymał z całej mocy linkę, ta jednak wylatywała dalej. Wreszcie lewa odnalazła ją, wtedy stary odchylił się, a linka parzyła mu teraz plecy i rozrywała okropnie lewą dłoń, która przejęła całą naprężenie. Obejrzał się na zwoje i stwierdził, że odwijają się gładko. Właśnie w tej chwili marlin wyskoczył rozbrzygzując potężnie morze, po czym runął w nie ciężko. Następnie skoczył znowu i znowu, a kół płynęła szybko, choć linka wciąż wylatywała, stary zaś zwiększał napięcie aż do punktu zerwania, i znowu do punktu zerwania, i robił to wciąż od nowa. Leżał wciśnięty w dziób łodzi, twarzą w pokrajanych kawałkach delfina, i nie mógł się poruszyć.

„Na to właśnie czekaliśmy — pomyślał. — Więc teraz trzeba to znieść.”

„Musisz zapłacić za tę linkę — myślał. — Musisz zapłacić.”

Nie mógł widzieć skoków marlina, słyszał jedynie rozwieranie się wód oceanu i ciężkie chłupnięcia, gdy ryba spadała. Szybko sunąca linka haratała mu strasznie ręce, ale od początku wiedział, że to nastąpi, więc próbował trzymać ją stwardniałą częścią dłoni i nie pozwolić, by osunęła się głębiej albo przecięła palce.

„Gdyby chłopiec tu był, zmoczyłby zwoje — pomyślał. — Gdyby chłopiec tu był. Gdyby tu był.”

Linka wylatywała wciąż, wciąż i wciąż, ale już teraz zwalniała, a marlin musiał zdobywać każdy jej cal. Stary oderwał głowę od desek i kawałków ryby, które rozgniół policzkiem. Następnie poddał się na kolana, a potem powoli wstał. Oddawał linkę, ale robił to coraz wolniej. Przesunął się w tył, do miejsca, gdzie mógł wyznaczyć stopą dość, a marlin musiał obecnie przewycięzać tarcie całej tej nowej jej części o wodę.

„Tak — myślał stary. — Wyskoczył już z góra tuzin razy, napelnit sobie powiętrzem pecherze na grzbiecie i nie może zanurzyć się głęboko, żeby zdychać tam, skąd nie zdołałbym go wydostać. Niedługo zacznie krążyć, a wtedy muszę się wzięć do niego. Ciekawe, co go tak nagłe ruszyło? Czy do głód doprowadził go do rozpaczcy, czy też przelał się czegoś w nocy? Może raptem ogarnął go lęk się czegoś w nocy? Może spokojny, silny, w strachach. Ale przecież był taki spokojny, silny, wydawał się taki nieustraszony i ufny. Dziwne.”

— Lepiej sam bądź nieustraszony i ufny, mój stary — powiedział. — Trzymasz go znowu, ale nie możesz już wybrać linki. Tylko że on niedługo musi zacząć kolować.

Przytrzymując rybę lewą ręką i ramionami, pochylił się i zacerpnął wody w prawą dłoń, aby zmęć z twarzy rozgniecione mięso delfina. Obawiał się, że może go zemdlific, a wtedy zwymlotuje i straci sily. Obmywszy twarz, wysunął przez burte prawą rękę, opukał ją i przytrzymał w słonej wodzie, śledząc pierwszą zorzę pojawiającą się przed wschodem słońca. „Idzie prawie prosto na wschód — pomyślał. — To znaczy, że jest zmęczony i płynie z prądem. Niedługo będzie musiał zataczać koła. Wtedy zacznie się dla nas prawdziwa robota.”

Osadziwszy, że prawa ręka pozostała już dość długo w wodzie, wyjął ją i obejrzał.

— Nie jest tak źle — powiedział. — A ból to gupstwo dla mężczyzny.

Ujął linkę ostrożnie, tak żeby nie trafiła w światło skażenia, i przesunął ciężar ciała w ten sposób, by móc zanurzyć lewą rękę po drugiej stronie łodzi.

— Nie najgorzej się sprawiłaś jak na coś tak marnego — powiedział do swojej lewej ręki. — Ale była chwila, kiedy nie mogłem cię znaleźć. „Dlaczego nie urodziłem się z dwiema dobrymi

rękami? — pomyślał. — A może to moja wina, że nie ćwiczyłem tej, jak należy. Ale Bóg świadkiem, że miała dosyć okazji do nauki. Mimo wszystko nieźle dawała sobie radę w nocy, a kurecz ją chwycił tylko raz. Jeżeli to się powtórzy, niech mi ją linka odetnie.”

Kiedy to pomyślał, zrozumiał, że mąci mu się w głowie, i uznał, że powinien znuć jeszcze trochę delfina. „Ale nie mogę — powiedział do siebie. — Lepiej mieć pustkę w głowie niż stracić sily przez mdłości. A wiem, że odkał tkwilem w tym twarzą, nie zatrzymam tego w sobie po jedzeniu. Zachowam mięso na wszelki wypadek, póki się nie zepsuje. Teraz już za późno zdobywać sily jedzeniem. Głupi jesteś — powiedział do siebie. — Zjedz drugą latającą rybę.”

Leżała gotowa, oczyszczona, więc podniósł ją lewą ręką i zjadł całą rybę aż do ogona, starannie przeżuając ości.

„Chyba jest pożywniejsza od wszystkich ryb — pomyślał. — Przynajmniej jest w niej ten rodzaj sily, którego mi potrzeba. Teraz zrobiłem, co mogłem. Niechże on zaczyna krążyć i niech już przyjdzie walka.”

Słońce wschodziło po raz trzeci, odkąd stary wyruszył na morze, gdy ryba poczęła zataczać kregi.

Po skosie linki nie mógł jeszcze poznać, że marnin koluje. Na to było za wcześnie. Poczul tylko lekkie złuznienie napięcia i zaczął delikatnie ciągnąć linkę prawą ręką. Naprężyła się jak zwykłe, ale właśnie kiedy była bliska punktu zerwania, zaczęła się poddawać. Wysunął głowę i barki spod linki i zaczął ją przyciągać równo i delikatnie. Rozkołysanym ruchem wybierał ją oburącz, usiłując, ile tylko mógł, pomagać sobie ciałem i nogami. Stare nogi i ramiona poruszały się wahałdowo, w miarę jak ciągnął.

— To bardzo duże kolo — powiedział. — Ale przecież kółuje.

Potem nie sposób już było wybrać więcej linki, więc ją przytrzymał, póki nie dojrzał w słońcu laskających z niej kropielek. Wtedy zaczęła wylatywać z powrotem, a stary ukląkł i niechętnie pozwolił jej znowu sunąć w ciemną wodę.

— W tej chwili robi najdalszą część kola — powiedział. „Trzeba go trzymać ze wszystkich rąk — pomyślał. — Napięcie będzie za każdym razem zmniejszało jego krag. Może za jakąś godzinę go zobacze. Teraz muszę go zmęczyć, a potem muszę go zabić.”

Ale ryba wciąż z wolna krążyła, a w dwie godziny później stary był całkiem mokry od potu i wyczerpany do szpiku kości. Jednakże teraz kola były już znacznie mniejsze, a sądząc po skosie linki marlin wciąż podnosił się coraz wyżej.

Staremu od godziny pokazywały się przed oczami czarne plamki, a słone strugi potu zalewały mu oczy, skaleczenie nad powieką i na czole. Nie lękał się czarnych plamek. Były one rzeczą normalną przy tym natężeniu, z jakim ciągnął za linkę. Jednak dwukrotnie zrobiło mu się słabo, uczuł zawrót głowy i to go martwiło.

— Nie mogę sprawić sobie zawodu i skonać przy takiej rybie — powiedział. — Boże, dopomóż wytrwać teraz, kiedy mi tak pięknie wypływa. Odmówię sto *Ojczy nasz* i sto *Zdrowaś Mario*. Ale nie mogę zmówić ich zaraz.

„Uważaj je za zmówione — pomyślał. — Odmówię je później.”

Właśnie w tej chwili wyczuł nagle targnięcie i szarpnięcie za linkę, którą trzymał obiema rękami. Było ono ostre, twarde i ciężkie.

„Uderza swoim mieczem o drucianą przyponę — pomyślał. — To było nieuniknione. Musiał to zrobić. Przez to może jednak wyskoczyć, a ja

bym wolał, żeby jeszcze krążył. Skoki były mu potrzebne do nabrania powietrza. Ale potem kiedy następny poszerzy otwór rany od haka i marlin może go wyrzucić.”

— Nie skacz, rybo — powiedział. — Nie skacz. Marlin jeszcze kilka razy uderzył o przyponę, a za każdym potrząśnięciem jego łba stary odawał nieco linki.

„Muszę utrzymać jego ból w tym samym miejscu — pomyślał. — Mój jest nieważny. Mój mogę opanować. Ale jego ból może go doprowadzić do obłądu.”

Po pewnej chwili marlin przestał uderzać o drut i zaczął znów krążyć powoli. Stary nieprzerwanie wyciągał linkę. Ale znowu zrobiło mu się słabo. Zacerpnął lewą ręką trochę morskiej wody i zmoczył nią sobie głowę. Następnie nabrał jeszcze więcej i roztarł kark.

— Nie mam kurców — powiedział. — On się niedługo pokaże, a ja potrafię wytrzymać. Musisz wytrzymać. Nawet nie ma o czym gadać.

Ukląkł przy dziobie i znowu na chwilę zatoczył sobie linkę na barki. „Odpoczne teraz, póki robi kolo, a potem wstanie i wezmę się do niego, kiedy podplynie” — postanowił.

Miał wielką pokusę odpocząć na dziobie, pozwolić, by marlin sam zatoczył jedno kolo i nie odbierać mu wcale linki. Gdy jednak stopień jej natężenia wskazał, że ryba zawróciła ku łodzi, wstał i począł przyciągać ją kołyszającym, wahałym ruchem, którym ponownie wybrał całą luźną linkę.

„Nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony — pomyślał. — Teraz zrywa się pasat. Ale to mi może go poholować. Strasznie mi tego potrzeba.”

— Odpoczne, jak będzie robił następny krag — powiedział. — Czuję się dużo lepiej. A potem jeszcze dwa czy trzy kola, i będę go miał.

Stomiany kapelusznik osunął mu się daleko na tył głowy. Stary, pociągnięty linką, opadł na dziób czując, że ryba zawraca.

„Pracuj teraz, rybo — pomyślał. — Weźmę cię na zakręcie.”

Morze rozkołysało się znacznie. Była to jednak pogodna bryza potrzebna starem, aby mógł wrócić do domu.

— Posteruję na południowy zachód — powiedział. — Człowiek nigdy nie zgubi się na morzu, a wyspa jest długa.

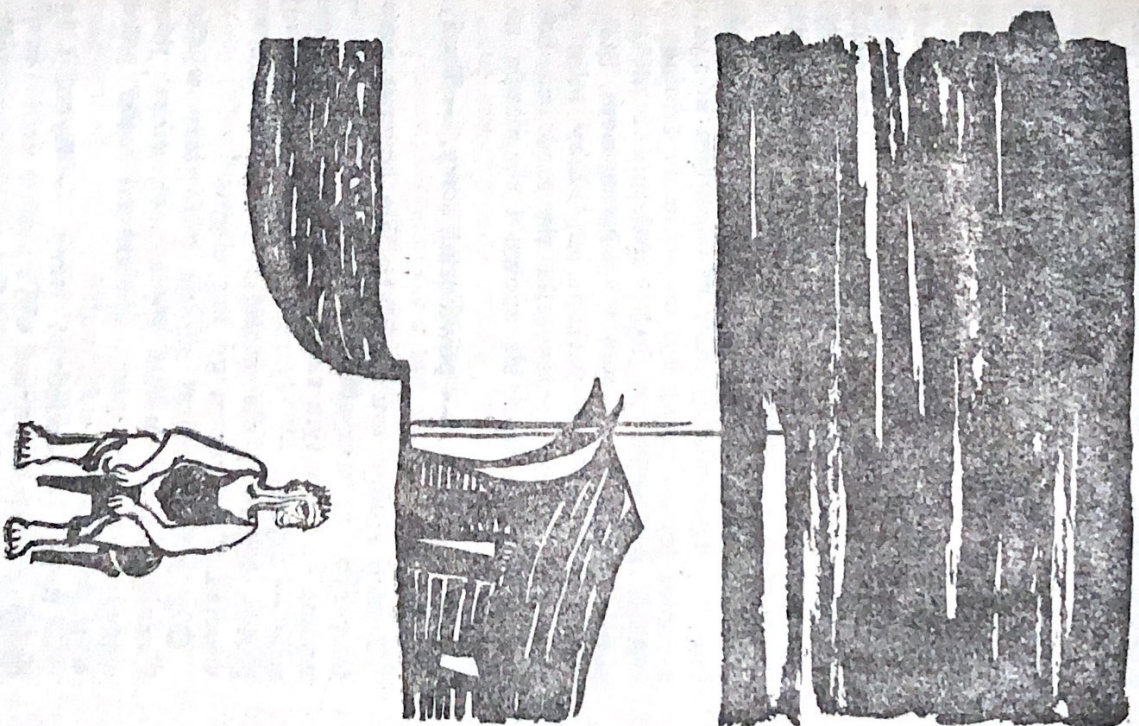
Za trzecim okrzykiem ujrzał nareszcie marlin. Zobaczył go zrazu jako ciemny cień, który tak długo przepływał pod łodzią, że trudno było wiarzyć w jego rozmiar.

— Nie — powiedział stary. — Nie może być taki wielki.

Ale marlin był taki wielki i zatoczywszy koło wynurzył się na powierzchnię zaledwie o trzydzieści jardów, a stary zobaczył jego ogon sterzący z morza. Był dłuższy od ostrza dużej kosy, blade lawendowy nad ciemnobłękitną wodą. Zagarniał ją i kiedy ryba przepływała tuż pod powierzchnią, stary mógł dojrzeć jej olbrzymie cielsko i opasujące je fioletowe pręgi. Pięta grzbietowa rozposasała w dół, a ogromne płetwy piersiowe rozposasały były szeroko.

Podczas tego okrążenia stary zobaczył oko ryby i dwie szare remory ssące, które płynęły w pobliżu. Niekiedy do niej przywierały, to znów odskakiwały nagle. Czasem płynęły swobodnie w jej cieniu. Każda miała ponad trzy stopy długości, a płynąć szybko, wily się całym ciałem jak węgorze.

Stary pocił się teraz, lecz już nie tylko od słońca. Za każdym spokojnym, nieśpiesznym okrążeniem, jakie robiła ryba, wybierał kawał linki



i pewien był, że jeszcze dwa kregi, a zdoła uderzyć harpunem.

„Ale muszę go ściagnąć blisko, blisko, blisko — myślał. — Nie wolno mi mierzyc w głowę. Muszę go trafić w serce.”

— Bądź spokojny i silny, mój stary — powiedział.

Za następnym okrzykiem grzbień ryby ukazał się nad wodą, ale marlin był trochę za daleko od łodzi. Robiąc następne z kolei, był jeszcze wciąż za daleko, ale bardziej wynurzył się z wody, i stary nie wątpił, że wybrawszy jeszcze trochę linki, zdoła go przyciągnąć do burty.

Od dawna już przygotował harpun; zwój lekiej liny harpunowej leżał w okrągłym koszyku, a koniec jej uwiązany był do kolka na dziobie.

Ryba zawracała po kole, spokojna i piękna, poruszając jedynie swym wielkim ogonem. Stary przyciągał ją ze wszystkich sił, a żeby mieć ją bliżej. Na chwilę przekreśliła się nieco na bok. Potem wyprostowała się znowu i rozpoczęła następny krag.

— Ruszyłem go — powiedział stary. — Ruszyłem go teraz.

Znowu zrobiło mu się słabo, ale trzymał ogromną rybę ze wszystkich sił. „Poruszyłem go — myślał. — Może tym razem go dostanę. Ciągnijcie, ręce — myślał. — Wytężmajcie, nogi. Wytwarzaj, głowo. Wytwarzaj dla mnie. Nigdy mnie nie zawiódłś. Tym razem go przyciągnę.”

Gdy jednak zebrał się na najwyższy wysiłek i zanim jeszcze marlin się zbliżył, zaczął przyciągać go z całej mocy, ten skręcił nieco, potem wyprostował się i odpłynął.

— Rybo — powiedział stary. — Rybo, i tak będziesz musiała umrzeć. Czyż musisz zabić i mnie? „W ten sposób nie się robi” — pomyślał. W ustach zanadto mu zaschło, by mówić, ale nie

mógł teraz sięgnąć po wodę. „Tym razem muszę go przyciągnąć do burty — myślał. — Nie wytrzymam już wielu okrążeń. I owszem, wytężymasz — powiedział do siebie. — Wytężymasz wszystko.”

Za następnym nawrotem już prawie go miał, ale marlin znowu wyprostował się i z wolna odpłynął.

„Zabijasz mnie — pomyślał stary. — Ale masz do tego prawo. Nigdy nie widział nic więcej, piękniejszego, bardziej spokojnego i szlachetnego od ciebie, bracie. Przyjdź i zabij mnie. Wszystko mi jedno, kto kogo zabije.”

„Zaczyna ci się mąć w głowie — pomyślał. — A musisz ją mieć jasną. Zachowaj jasność w głowie i umiej cierpieć jak mężczyzna. Albo jak ryba.”

— Rozjaśnij się, głowo — powiedział głosem, który lewie mógł dosłyszeć. — Rozjaśnij się.

To samo powtórzyło się dwukrotnie przy następnych okrążeniach.

„Już nic nie wiem — myślał stary. Za każdym razem czuł, że łąda chwila straci przytomność. — Nie wiem. Ale spróbuję jeszcze raz.”

Spróbował ponownie i poczuł, że mdleje, kiedy zawrócił rybę. Ta wyprostowała się i znów odpłynęła powoli, zamiatając w powietrzu potężnym ogonem.

„Spróbuję jeszcze raz” — obiecał sobie stary, choć ręce miał teraz jak z ciasta, a widział dobrze tylko przebłyskami.

Spróbował znowu i znowu było to samo. „Ach tak — pomyślał i poczuł, że omdlewa. — Więc poprobuję raz jeszcze.”

Zebrał cały swój ból i resztę sił, jakie mu pozostały, i swoją dawno utraconą dumę — i przeciwstawił to męce ryby, a ona przybliżyła się do niego i popłynęła łagodnie obok, prawie dotykając swym mieczem desek łodzi, i zaczęła ją miąć.

długa, potężna, szeroka, srebrzysta, przegowana fioletem, nieskończona tam, w wodzie.

Stary puścił linkę, przycisnął ją stopą, podniósł harpun najwyżej, jak mógł, i wbił go z całej mocy, ze wszystkich sił, jakie jeszcze w tej chwili przywołał, w bok ryby, tuż za wielką płetwą piersiową, która sterczała w powietrzu na wysokości jego własnej piersi. Poczuli, że grot wehodzi, wsparł się na harpunie i wepchnął go głębiej, a potem wcisnął jeszcze całym swoim ciężarem.

Wtedy marlin ożył, niosąc śmierz w sobie, i wzblił się wysoko nad wodę, ukazując całą swą wielką długość i objętość, całą swą moc i piękno. Zdawało się, że zawisł w powietrzu nad starym rybakiem w łodzi. Potem runął z trzaskiem w wodę, obryzgując pianą jego i całą łódź.

Stary uczuł, że mu słabo, chwycił go młodości, w oczach mu się zaczęło. Mimo to rozwinął linkę harpuna i pozwolił jej sunąć z wolna przez poszarpane ręce, a kiedy odzyskał wzrok, zobaczył rybę leżącą na grzbiecie, srebrzystym brzuchem do góry. Drzewce harpuna sterczało ukośnie z jej boku, a morze barwiło się czerwienią krwi z serca. Zrazu krew była ciemna niby mielizna w błękitnej, ponad milę głębokiej wodzie. Potem rozpostarła się jak obłok. Ryba była srebrna, nieruchoma i unosiła się na falach.

Przez ową chwilę, kiedy miał zdolność widzenia, stary patrzył baczenie. Potem dwa razy okręcił linkę harpuna wokół kółka na dziobie i złożył głowę na dłoniach.

— Trzeba zachować jasność w głowie — powiedział opierając się twarzą o deski dzioba. — Jestem zmęczony i stary. Ale zabitem tego marlina, który jest moim bratem, i teraz muszę odrobić pańszczyznę.

„Trzeba przygotować pętlę i line, żeby go uwiązać do łodzi — pomyślał. — Nawet gdyby nas

było dwóch i gdybyśmy ją zanurzyli, żeby go zładować, a potem wybrali wodę, ta łódź nigdy by go nie pomieściła. Muszę wszystko przygotować, potem przyciągnąć go i uwiązać dobrze, postawić maszt i poęglować do domu.”

Zaczął przyciągać marlina, bo chciał go mieć tuż przy burcie, a żeby przewlec linkę przez skrzela i paszczę, a potem przytroczyć go łbem do dzioba łodzi. „Chcę go widzieć — myślał — dotykać go i czuć. To przecie mój majątek. Ale nie dlatego chcę go dotykać. Zdawało mi się, że wyczułem jego serce — myślał — kiedy wepchnąłem drzewce harpuna po raz drugi. Teraz trzeba go przyciągnąć, przytrzymać i założyć jedną pętlę na ogon, a drugą wpół ciała, żeby uwiązać go do łodzi!”

— Bierz się do roboty, stary — powiedział. Wypili mały łyk wody. — Teraz, kiedy walka się skończyła, dużo jest tej pańszczyzny do odrobienia.

Popatrzał na niebo, a potem na swoją rybę. Uważnie przyjrzał się słońcu. „Nie jest wiele później niż południe — pomyślał. — A pasat się zrywa. Linki są teraz nieważne. Posplatamy je z chłopcem w domu.”

— No chodź, rybo — rzekł. Ale ryba nie przysła. Leżała przewalając się na falach, więc stary dociągnął łódź do niej.

Kiedy się z nią zrównał, a głowa marlina oparła się o dziób łodzi, stary nie mógł uwierzyć, że ryba jest taka ogromna. Odwiązał z kółka linkę harpuna, przewłócił ją przez jedno skrzelo, wyciągnął spomiędzy szczęk, okręcił na mieczu, potem wsunął przez drugie skrzelo, znowu okręcił cował ją do kółka na dziobie. Następnie uciął kawał liny i przeszedł na rufę, żeby założyć pętlę na ogon. Ryba, pierwotnie srebrno-fioletowa, przybrała barwę srebrzystą, a pasy miały ten sam

bladolihowy kolor co ogon. Były szersze od ludzkiej dłoni z rozstawionymi palcami, a oko wydało się równie obojętne jak lusterko w peryszkopie czy święty w procesji.

— To był jedyny sposób zabicia go — powiedział stary. Czuł się lepiej, odkąd lęknął wody; wiedział, że nie zemdleje, i w głowie mu się nie mąciło. „Taki, jak teraz jest, waży z górą półtora tysiąca funtów — pomyślał. — A może i dużo więcej. Jeżeli po oprawieniu zostanie z tego dwie trzecie po trzydzieści centów za funt...”

— Na to mi potrzeba ołówka — rzekł. — Tak jasnej głowy jeszcze nie mam. Ale myślę, że wielki Di Maggio byłby dziś ze mnie dumny. Nie miałem ostróg kostnych, ale ręce i plecy bolały porządnie. — „Ciekawe, co to jest ta ostroga — pomyślał. — A może je mamy nic o tym nie wiedząc?”

Przytwierdził rybę do dzioba, rufy i do środkowej ławy. Była tak wielka, iż miał wrażenie, że przywiązuje do burty znacznie większą łódź. Uciął kawałek linki i przytroczył dolną szczerkę ryby do jej miecza, żeby pysk się nie rozwiierał i żeby mogli płynąć jak najgładziej. Następnie postawił maszt, a kiedy zmontował bom oraz drag, który mu służył jako gatel, polatany żagiel wydał się, łódź ruszyła z miejsca, on zaś, wpół leżąc na rufie, pozęglował na południowy zachód.

Nie potrzebował kompasu, by wiedzieć, gdzie jest południowy zachód. Wystarczyło mu wyczuć powiew pasatu i wydeście żagla. „Warto by zrzuścić małą linkę z blyszczikiem i poprobować zobaczyć coś do jedzenia i zwilżenia ust.” Nie mógł jednakże znaleźć blyszczyka, a sardyńki były ze psute. Płynąc wyłowił więc osękiem pęk żółtych wodorostów i potrzebował nimi tak, że znajdujące się w nich małe krewetki pospadały na deski łodzi. Było ich ponad tuzin, a skakały i miotały się

jak pchły. Stary pourywał im łebki palcami i zjadł krewetki rozgrzając skorupy i ogony. Były bardzo małe, ale wiedział, że są pożywne, a smak miały dobry.

W butelce zostały jeszcze dwa łyki wody, więc zjadłszy krewetki wypił jej trochę. Łódź płynęła dobrze, jeżeli zważyć obciążenie, a on kierował nią trzymając rękojeść steru pod pachą. Widział rybę, a wystarczyło mu spojrzeć na własne ręce i oprzeć się plecami o rufę, by wiedzieć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę i nie było snem. W pewnej chwili, gdy czuł się tak niedobrze pod koniec, pomyślał, że może to sen. Potem, kiedy zobaczył rybę, która wyskoczywszy z wody zawiśla nieruchomo na tle nieba, nim spadła, uznał, że jest w tym jakaś wielka dziwność, i nie mógł w to uwierzyć. Wtedy nie widział wyraźnie, choć teraz wzrok miał równie dobry jak zawsze.

Wiedział, że ryba jest obok, a jego ręce i plecy nie są snem. „Ręce goją się szybko — pomyślał. — Wykrwawiłem je do czysta, a słona woda je uleczy. Ciemna woda zatoki to najlepszy lekarz, jaki istnieje. Trzeba mi tylko zachować jasność w głowie. Ręce zrobiły swoje, a żeglujemy dobrze. On ma pysk zaciśnięty, a ogon trzyma prosto, więc płyniemy sobie jak bracia.” Potem zaczęło mu się znów trochę mąć w głowie i pomyślał: „Czy to on mnie ciągnie, czy ja jego? Gdybym go holował za sobą, nie byłoby wątpliwości.” Nie byłoby jej też, gdyby marlin leżał w łodzi, pozbawiony całego dostojenstwa. Ale płynęli razem, związani z sobą bok w bok, a stary pomyślał: „Niechże mnie ciągnie, jeżeli mu się tak podoba. Wziąłem nad nim górę tylko podstępem, a on nie chciał mi zrobić nic złego.”

Płynęli szybko, stary moczył ręce w słonej wodzie i usiłował zachować przytomność umysłu. W górze były wysokie kumkulusy i sporo obłoków

pierzastych, toteż wiedział, że bryza potrwa całą noc. Stale spoglądał na rybę, aby upewnić się, że to prawda. Minęła godzina, zanim uderzył ją klami pierwszy rekin.

Rekin nie zjawił się przypadkowo. Wypłynął z głębin wodnych, kiedy ciemna chmura krwi osiadła i rozlała się w głębokim na milę morzu. Wypłynął tak szybko i bez żadnej ostrożności, że rozdarł powierzchnię błękitnej wody i ukazał się w słońcu. Potem opadł na powrót w morze, zwiertzył zapach i zaczął płynąć w kierunku, który obrąta łódź i ryba.

Niekiedy gubił woń. Ale teraz odnajdował ją znowu, czasem też chwycił tylko jej ślad i płynął szybko, uparcie po kursie łodzi. Był to ogromny żarłacz mako, o budowie przystosowanej do pływania tak jak najszybsza ryba w morzu, i wszystko w nim było piękne prócz paszczy. Grzbiet miał błękitny jak u ryby-miecza, brzuch srebrny, a skórę gładką i ładną. Zbudowany był też podobnie do ryby-miecza, z wyjątkiem olbrzymich szczęk, zatrasniętych teraz, gdy płynął szybko tuż pod powierzchnią, tnąc niewzruszenie wodę sterzącą płetwą grzbietową. Za ściśniętymi podwójnymi wargami jego paszczy było osiem rzędów kłów osadzonych skośnie do wewnątrz. Nie były to zwykłe, stożkowate zęby większości rekinów. Miały kształt palców ludzkich zagiętych jak szpony. Były prawie tak długie jak palce starego rybaka, a z obu stron miały tnące, ostre jak brzytwa krawędzie. Rekin ten mógł zerować na wszystkich rybach morskich, które były tak szybkie, silne i dobrze uzbrojone, że nie miały już żadnego innego wroga. Teraz przyspieszył, gdyż zwiertzył świeży zapach, a niebieska płetwa grzbietowa wciął cięła wodę.

Kiedy stary go ujrzął, wiedział już, że to rekin, który nie zna leku i robi dokładnie to, co

chce. Obserwując go przygotował harpun i zamocował linkę. Była krótka, gdyż brakowało jej tej części, którą odciął, żeby uwiązać rybę.

Umysł miał teraz jasny, pełen był determinacji, ale nie miał wiele nadziei. „Za dobre to było, żeby trwać” — pomyślał. Śledząc podążającego rekina, rzucił okiem na wielką rybę. „Równie dobrze mógł to być sen — myślał. — Nie mogę przeszkodzić, żeby na mnie napadł, ale może go i dostranę. *Dentusol!* — pomyślał. — Niech szlag trafi twoją mać!”

Rekin podpłynął od tyłu i kiedy uderzył rybę klami, stary ujrzął rozwierającą się paszczę, dziwne ślepia, usłyszał klapaniecie zębów, gdy rekin wżerał się w mięso tuż nad ogonem. Głowa rekina sterzała ponad wodą, grzbiet wynurzał się, a stary słyszał trzask skóry i mięsa darte go na wielkiej rybie i wtedy wbił harpun w łeb rekina, w miejsce, gdzie linia łącząca oczy przecina się z linia, która biegnie w tył od nosa. Nie było takich linii. Był tylko ciężki, zaostrozony, niebieski łeb i wielkie ślepia, i klapiące, szarpiące, wszystkie pochłaniające szczęki. Ale w tym właśnie miejscu był mózg i stary w niego ugodził. Ugodził swymi wykrwawionymi rękami, które z całej mocy wbiły tegi harpun. Ugodził bez nadziei, ale zdecydowanie, z najwyższą zajądłością.

Rekin okrecił się w miejscu, a stary spostrzegł, że w jego oku nie ma życia; potem okrecił się raz jeszcze, wikłając się w dwa zwoje liny. Stary wiedział już, że rekin nie żyje, ale ten nie chciał na to przystać. Leżąc na grzbiecie, strzepując ogonem, klapiąc szczękami, począł pruć wodę, jak to czyni szybka motorówka. Woda zabieliła się tam, gdzie ją smagał ogonem, trzy czwarte ciała wynurzyło się nad nią i wtedy linka napięła się, zadrgała i pękła. Przez krótką chwilę leżał spokojnie na powierzchni, a stary wpatrywał się w nie-

go. Potem bardzo powoli rekin poszedł na dno — Wziął ze czterdzieści funtów — powiedział głośno stary. „Zabrał mi także harpun i całą linę — pomyślał — i teraz moja ryba znów krwa- wi, więc przyjdą inne.”

Nie miał już chęci patrzeć na rybę, odkałd zo- stała okaleczona. Kiedy rekin ją ugryzł, było to tak, jakby ugryzł jego samego.

— Ale człowiek nie jest stworzony do kłęski — pomyślał. — To był największy *dentuso*, jakiego widziałem. A Bóg wie, że widywałem duże.”

„Za piękne było, żeby trwać — myślał. — Wo- lałbym teraz, żeby to był sen, wolałbym nigdy nie schwytać tej ryby i leżeć samotnie w łóżku na gazetach.”

— Ale człowiek nie jest stworzony do kłęski — powiedział. — Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać.

„Zal mi jednak, że zabiłem tę rybę — pomy- ślał. — Teraz nadchodzi zły czas, a ja nie mam nawet harpuna. *Dentuso* jest okrutny, zrzeczny, silny i rozumny. Ale ja byłem rozumniejszy od niego. Może zresztą i nie — pomyślał. — Może byłem tylko lepiej uzbrojony.”

— Nie myśl, stary — powiedział na głos. — Płyn po kursie i przyjmij to, co przyjdzie.

„Ale ja muszę myśleć. Bo tylko to mi zostało To i baseball. Ciekaw jestem, jakby się wielkie- mu *Di Maggio* podobał ten mój cios w głowę? Nie było to nie nadzwyczajnego — myślał. — Każdy by to potrafił. Ale czy moje ręce były równie wielkim utrudnieniem jak ta kostna ostroga? Nie mam pojęcia. Pięta nigdy mi nie dokuczala, tylko raz jeden, kiedy płynąc trąciłem stopą płaszczkę kociącą, a ta mnie uknuła i sparaliżowała dolną część nogi, i sprawiła nieznośny ból.”

— Pomyśl o czym wesółym, stary — rzekł. — Teraz z każdą minutą jesteś bliżej domu. Lżej ci

72

się płynie, bo ciągniesz o czterdzieści funtów mniej.

Wiedział doskonale, jaki może być dalszy roz- wój wypadków, kiedy dotrze do środka prądu. Ale nie było już żadnej rady.

— I owszem, jest rada — rzekł głośno. — Mo- gę przywiązać nóż do trzonka wiosła.

Zrobił to trzymając rękojeść steru pod pachą, a szkot żagla pod stopą.

— No! — powiedział. — Stary jestem, ale już nie bezbronny.

Eryza dęła teraz silnie, toteż żeglował dobrze. Przyglądał się tylko przedniej części ryby i od- zyskał trochę nadziei.

„Ciupio jest nie mieć nadziei — pomyślał. — Poza tym to pewnie grzech. Nie myśl o grzechu. Dość teraz jest kłopotów i bez tego. A zresztą nie rozumiem się na tym.”

Nie rozumiem się na tym i nie jestem pewien, czy w to wierzę. Może było grzechem zabić ry- bę? Przypuszczam, że tak, chociaż zabiłem to, żeby wyżyć i nakarmić wielu ludzi. A wreszcie wszystko jest grzechem. Więc nie myśl o grzechu. Na to już o wiele za późno, a są ludzie, którym Urodziłem się, żeby być rybakiem, tak jak ryba urodziła się, żeby być rybą. Święty Pedro był ry- bakiem, a także ojciec wielkiego *Di Maggio*.”

Jednakże lubił zastanawiać się nad wszystkim, co go dotyczyło, a ponieważ nie było nic do czy- tania i nie miał radia, więc rozmyślał wiele, i wciąż o grzechu. „Nie zabiłeś tego marlina tyl- ko po to, żeby wyżyć i sprzedać go na mięso — myślał. — Zabiłeś go z dumy i dlatego, że jesteś rybakiem. Kochałeś go, kiedy żył, i kochałeś go potem. Jeżeli go kochasz, nie jest grzechem go zabić. Czy też jest jeszcze większym?”

— Za dużo myślisz, stary — powiedział na głos.

73

„Ale przyjemnie ci było zabić dentusa — pomyślał. — Żywi on się żywymi rybami, tak jak ty. Nie jest jakimś padlinożercą czy po prostu ruchoмым apetytem jak niektóre rekiny. Jest piękny, szlachetny i nie zna strachu przed niczym.”

— Zabiłem go w samoobronie — powiedział. — I zabiłem dobrze.

„A zresztą — pomyślał — wszystko w jakiś sposób zabija wszystko inne. Łowienie ryb zabija ciu. Ale chłopiec pomaga mi żyć. Nie powinienem znanadto się huzdzić.”

Wychylił się przez burtę i urwał kawałek mięsa ryby z miejsca, gdzie nadgryzł ją rekin. Przetnął je i stwierdził, że jest dobrej jakości i smaczne. Było jędrne, soczyste jak mięso zwierzęce, ale nie czerwone. Nie było łykowane i włedział, że na targu przyniesie mu najwyższą cenę. Nie miał jednak sposobu, aby zapobiec rozchodzeniu się zapachu w wodzie, i zławał sobie sprawę, że zbliżają się ciężkie chwile.

Bryza wiała ciągle. Przesunęła się nieco dalej na północo-wschód, a wiedział, iż jest to oznaka, że nie ustanie. Popatrzał przed siebie, ale nie mógł nigdzie dojrzeć żagli ani kadłuba czy dymu jakiegokolwiek statku. Widać było jedynie latające ryby, które wzbijały się spod dzioba szybując w obie strony, i żółte płachty wodorostów zatokowych. Nie mógł nawet wypatrzeć żadnego ptaka.

Płynął już od dwóch godzin, odpoczywając na rufie, czasami przeżuważając kawałek mięsa marni i usiłując wytchnąć i nabrać sił, kiedy zobaczył pierwszego z pary rekinów.

— *Ay!* — powiedział na głos.

Niepodobna przetłumaczyć tego słowa; być może jest ono po prostu dźwiękiem, jaki mógłby mówolnie wydać człowiek czując, że gwózdź przelika mu przez dłoń i wbija się w drzewo.

— *Galanos!* — rzekł głośno. Wiedział już drugą pletwę, która sunęła za pierwszą, i rozpoznał płaskonosę żarłaczę po owych brunatnych trójkątnych pletwach i zamiatających ruchach ogona. Zwietryły zapach i to je podnieciło, a ogłupiałe od wielkiego głodu, gubiły ślad w swej zajadłości i odnajdowały go znou. Ale zbliżały się ciagle. Stary uwiązał szkot i zamocował ster. Następnie wziął wiośło z przytwierdzonym nożem. Podniósł je najlżej, jak mógł, bo ręce buntowały mu się przeciwko bólowi. Potem rozwarł i zamknął lekko dlonie na trzonku, aby je rozluźnić. Zaciśnął je mocno, ażeby zniósł ból i nie zadrżały, i śledził zbliżające się rekiny. Wiedział teraz ich łby szerokie, spłaszczone, spiczaste jak szpadle, i białe zakończone, rozłożyste pletwy piersiowe. Były to ohydne, cuchnące rekiny, żywiące się padliną, ale zarazem mordercy, a kiedy poczują głód, potrafiły kasać wiośło czy ster łodzi. To one odgryzały łapy żółwiom śpiącym na powierzchni morza, a jeśli były głodne, atakowały w wodzie człowieka, choćby nie pachniał rybnią krwią czy rybimi wydzielinami.

— *Ay!* — powiedział stary. — *Galanos.* Chodźcie tu, *galanos!*

Nadeszły. Ale nie przyplinyły tak jak tamten mako. Jeden skręcił i zniknął pod łodzią, a stary wyczuł jej drganie, kiedy rekin szarpał i targał rybę. Drugi obserwował człowieka szparami swych żółtych oczu, po czym podplynał szybko, rozwarłszy półkole szerek, aby zadać cios rybnie tam, gdzie była już nadgryziona. Na jego brunatnym łbie rysowała się wyraźnie linia biegnąca ku miejscu, gdzie mógł łączył się z kręgosłupem, i stary wbił uwiązany do wiośła nóż w to złączenie, wyrwał go i wbił ponownie w żółte kocio ślepiea rekin. Ten puścił rybę i osunął się w dół, przeliskając wyrwany kęs, w chwili gdy zdychał.

Łodzia ciągle wstrząsały niszczące ciosy, jakie drugi zadawał marlinowi, więc stary poluzował szkot, ażeby obróciła się burta i wydobyła na wierzch rekina. Kiedy go zobaczył, wychylił się i pchnął nożem. Trafił w mięso, skóra była twarda, napięta, więc ledwie zdołał wbić ostrze. Od tego ciosu zabolaty go nie tylko ręce, ale i ramiona. Rekin zaraz wypłynął wynurzając głowę i stary uderzył go w sam środek spłaszczoną łebka, w chwili gdy nos wychynał z wody i oparł się na rybie. Stary wyrwał ostrze i znowu pchnął dokładnie w to samo miejsce. Rekin uczeplił się ryby zatrzasnąwszy szczęki, więc stary dźgnął go w lewe oko. Rekin nadal nie puszczał.

— Nie? — powiedział stary i wbił ostrze pomiędzy kregi a mózg. Był to już łatwy cios, poczuł, że tkanka kostna się rozstępuje. Odwrócił wiosło i wepchnął jego pióro pomiędzy szczęki rekina, ażeby je rozewrzeć. Przekreślił pióro, a kiedy rekin puścił i osunął się w dół, powiedział:

— Idź precz, *galamoi*! Opadnij na miłą głęboko Idź do swojego przyjaciela czy może do swojej matki.

Wytarł ostrze noża i odłożył wiosło. Potem odnalazł szkot, a kiedy zagłębował się wydał, wprowadził łódź na kurs.

— Musiały zabrać ze ćwierć ryby, i to najlepszego mięsa — powiedział na głos. — Wolałbym, żeby to był sen i żebym jej nigdy nie zował. Przytko mi z tego powodu, rybo. W ten sposób wszystko wychodzi na opak. — Przerwał. Nie chciał spojrzeć na rybę. Wykrwawiona, obmywana falami, przypominała swą srebrzystością odwrotną stronę lustra, a pasy wciąż jeszcze były na niej widoczne.

— Nie powinienem był wypływać tak daleko, rybo — odezwał się stary. — Ani ze względu na ciebie, ani na siebie samego. Zatruję, rybo.

„No — powiedział sobie. — Obejrzyj wiązadło noża i sprawdź, czy nie przecięte. A potem doprowadź ręce do ładu, bo przyjdzie jeszcze coś więcej.”

— Chciałbym mieć osetkę do noża — rzekł sprawdziwszy wiązadła na trzonku wiosła. — Trzeba ją było zabrać ze sobą.

„Trzeba było zabrać wiele rzeczy — pomyślał. — Ale ich nie zabrałeś, stary. Teraz nie czas myśleć o tym, czego nie masz. Myśl, co potrafisz zrobić o tym, co jest.”

— Dajesz mi wiele dobrych rad — powiedział głośno. — Mam tego dosyć.

Trzymając rumpel steru pod pachą, wymoczył w wodzie ręce, podczas gdy łódź sunęła naprzód.

— Eóg wie, ile wzięł ten ostatni — powiedział. — Ale łódź jest teraz o wiele lżejsza. — Nie chciał myśleć o okaleczonym podbrzuszu ryby. Wiedział, że każde szarpnięcie się rekina oznaczało wyrwanie mięsa i że ryba pozostawała teraz dla wszystkich żarłaczy szlak szeroki i jak gościniec na morzu.

„To była ryba, z której człowiek mógł się utrzymać przez całą zimę — pomyślał. — Ale nie myśl o tym. Odpocznij tylko i postaraj się doprowadzić ręce do porządku, żeby obronić to, co jeszcze z niej zostało. Zapach krwi z moich rąk nie ma teraz żadnego znaczenia przy całym tym zapachu, jaki jest w wodzie. Prócz tego nie bardzo krwawią. Nic ważnego nie jest tam przecięte. Krwawienie może zapaść kurczom w lewej.”

„O czymże mogę teraz pomyśleć? O niczym. Muszę myśleć o niczym i czekać na te następne. Chciałbym, żeby to naprawdę był sen. Ale kto wie? Mogło skończyć się dobrze.”

Następny rekin, który przypłynął, był pojedynczym płaskonosem. Przyszedeł niby wieprz do kołryta — jeżeliby wieprz miał pysk tak szeroki, by

groźna weń wsunąć głowę. Stary pozwolił mu ugryźć rybę, a potem wbił mu w mózg nóż uwiazany do wiosła. Jednakże rekin zakotłował się, szarpnął w tył i ostrze noża pękło.

Stary usiadł przy sterze. Nawet nie śledził ogromnego rekina z wolna opadającego pod wodę — najpierw widocznego w swej naturalnej wielkości, potem mniejszego, wreszcie maleńkiego. To zawsze fascynowało starego rybaka. Ale tym razem nawet nie patrzył.

— Mam teraz osęk — powiedział. — Ale to się na nic nie przyda. Mam oba wiosła, rumpel i krótką pałkę.

„Już mnie pobili — pomyślał. — Jestem za stary, żeby zatłuc rekina na śmierć. Ale poprobuję tego, dopóki mam wiosła, krótką pałkę i rumpel.”

Znowu zanurzył w wodzie rękę, aby je wy-moczyć. Zbliżał się już wieczór, więc widział tylko niebo i morze. Na niebie wiatr był silniejszy niż dotąd i stary miał nadzieję niedługo ujrzeć ląd.

— Zmęczony jesteś, stary — rzekł. — Zmęczony jesteś od środka.

Rekin zaatakował go ponownie dopiero tuż przed zachodem słońca.

Stary zobaczył brunatne pletwy sunące wzdłuż szerokiego szlaku, który ryba musiała pozostawić w wodzie. Nawet nie kluczyły po śladzie. Płynęły bok w bok prosto na kółz.

Zamocował ster, uwiązał szkot i sięgnął pod rufę po pałkę. Był to trzonek po złamanym wiosle, spiłowany do mniej więcej dwóch i pół stopy długości. Mógł go skutecznie używać tylko jedną ręką ze względu na ucłwyt, więc ujął go mocno w prawą i wypróbował na nim jej giętkość, śledząc zbliżające się rekiny. Obydwa były *galanos*. „Muszę pozwolić pierwszemu, żeby się dobrze

uczeplił, a wtedy grzmotną go w czubek nosa albo prosto w wierzch tba” — pomyślał.

Oba rekiny podsunęły się razem, a kiedy zobaczył, że bliższy rozwiera szczękę i zatapia kły w srebrzystym boku ryby, podniósł wysoko pałkę i spuścił ją ciężko, z traskiem, na szeroki łeb rekina. W chwili gdy pałka spadała, wyczuł jego maszynność. Poczuli jednak również gumowatą maszynność. Poczuli jednak również twardość kości, więc jeszcze raz trzasnęli mocno w czubek nosa, kiedy rekin osuwał się z ryby.

Drugi przybliżył się, potem oddalił, a teraz znowu podpływał z rozwartym pyskiem. Stary dojrzał białe szczątki mięsa wymykające się z kątów paszczy, w chwili gdy rekin rzucił się na rybę i zamknął szczękę. Wziął zamach, lecz trafił tylko w głowę, a rekin spojrział na niego i wyrwał mięso. Zamachnął się znowu, kiedy rekin cofał się, żeby je przelknąć, i uderzył tylko w tę ciętką, gumowatą maszynność.

— Chodź no, *galano* — powiedział. — Chodź jeszcze raz.

Rekin powrócił jedynym rzutem i stary zadał cios, w momencie kiedy napastnik zwierzał paszczę. Uderzył go tego, z tak wysoka, jak tylko zdołał wznieść pałkę. Tym razem wyczuł kość u nasady czaszki, więc grzmotnął powtórnie w to samo miejsce, gdy rekin gnuśnie wydźierał mięso i zsuwał się z ryby.

Stary patrzył, czy znowu nie wypłynię, ale rekiny nie pokazywały się nigdzie. Wtem spostrzegł jednego z nich zataczającego koła na powierzchni. Pletwy drugiego nie widział.

„Nie mogłem się spodziewać, że je zatłukę — myślał. — W swoim czasie potrafiłbym to zrobić. Ale porządnie uszkodziłem obydwu i żaden nie może się czuć za dobrze. Gdybym mógł trzymać pałkę obiema rękami, byłbym zabił pierwszego z całą pewnością. Nawet teraz.”

Nie chciał spojrzeć na rybę. Wiedział, że jej połowa jest zniszczona. Słońce zaszło, kiedy walczył walkę z rekinami.

— Niedługo już będzie ciemno — powiedział. — Wtedy powinienem zobaczyć łunę Hawany. Jeżeli jestem za daleko na wschód, to dojrzę światła którejs z tych nowych placz.

„Chyba nie mogę być bardzo daleko w tej chwili — pomyślał. — Mam nadzieję, że nikt się za nadto nie niepokoi. Tylko chłopiec może się niepokoić, rzecz jasna. Ale jestem pewien, że wierzy we mnie. Wielu starszych rybaków będzie się martwiło. I wielu innych też. Mieszkam w całym mieście.”

Nie mógł już teraz przemawiać do ryby, gdyż była zbyt zniszczona. A potem coś mu przyszło do głowy.

— Półybol — powiedział. — Rybo, która była! Zaują, że wypłynąłem za daleko. To nas oboje wykończyło. Aleśmy razem z tobą ubili sporo rekinów, a uszkodzili wiele innych. Ich w życiu zabiłaś, stara? Nie darmo masz tę dziwę na głowie.

Przyjemnie mu było rozmyślać o rybie i o tym, co mogłaby zrobić rekinowi, gdyby płynęła swobodnie. „Powiniennem był odrąbać ten jej miecz i nim walczyć — pomyślał. — Tylko że nie miałem toporka, a potem już i noża. Ale gdybym tak zrobił i uwiązał jej miecz do trzonka wiola, cóż by to była za broń! Wtedy moglibyśmy razem bić się z nimi. Co teraz zrobisz, jeżeli przyjdą w nocy? Cóż możesz zrobić?”

— Walczyć — odpowiedział. — Będę z nimi walczył, póki nie skonom.

Ale teraz, w ciemności, kiedy nie było widać żadnej łuny czy światła i tylko dał wiatr, a żagiel równo ciągnął, stary pomyślał, że może już nie żyje. Złożył dłonie i pomacał wewnętrzną

ich stronę. Nie były martwe: mógł wywołać ból życia po prostu rozwierając je i zamykając. Opart się plecami o rufę i pojął, że nie umarł. Mówił mu o tym ramiona.

„Mam do zmnówienia te wszystkie modlitwy, które przyobiecalem, jeżeli złowię rybę — pomyślał. — Ale jestem zanadto zmęczony, żeby je teraz odnawiać. Lepiej wezmę worek i okryję sobie ramiona.”

Leżał na rufie, sterował i wypatrywał na siebie łuny światła. „Mam jeszcze połowę ryby — pomyślał. — Może mi się poszczęści dowieźć tę przędzią. Powiniennem bym mieć szczęście. Nie powiedział sobie. — Pogwałciłeś swoje szczęście, kiedy wypłynąłeś za daleko.”

— Nie bądź głupi — powiedział na głos. — Nie zasypiał i steruj. Możesz jeszcze mieć dużo szczęścia.

— Chętnie bym kupił go trochę, gdyby było takie miejsce, gdzie je sprzedają — powiedział.

„A czym mógłbym za nie zapłacić? — spytał samego siebie. — Czy straconym harpunem, złamanym nożem i dwiema poharatanyimi rękami?”

— I owszem — powiedział. — Próbowałeś za nie zapłacić osiemdziesięcioma czterema dniami na morzu. Już ci je prawie sprzedali.

„Nie powinienem wymyślać bredni — zastanowił się. — Szczęście jest czymś, co przychodzi pod wieloma postaciami, więc ktoś je może rozpoznać? A jednak chętnie bym wziął go trochę pod kądką postacią i zapłacił, co by żądano. Chciałbym już widzieć tę łunę światła — pomyślał. — Za wielu rzeczy chcę. Ale tego właśnie chcę w tej chwili.”

Spróbował usadowić się wygodniej przy sterze i po bólu poznał, że nie umarł.

Odblask roziskrzonych światła mięsa zobaczył gdzieś około dziesiątej godziny wieczorem. Z portu były dostrzeżalne tylko w tym stopniu

co światło na niebie przed wschodem księżyca. Potem widać je było wyraźnie nad oceanem, który teraz wzburzył się od wzrastającego wiatru. Stary kierował łódź prosto w ten blask i myślał, że już niedługo powinien natrafić na skraj prądu.

„Teraz już po wszystkim — rozmyślał. — Pewnie znów na mnie uderzą. A cóż może im zrobić po ciemku człowiek bez broni?”

Był dretwy i obolały, a rany i wszystkie naciągnięte mięśnie dokuczaly mu na nocnym chłodzie. „Mam nadzieję, że nie będę już musiał walczyć — myślał. — Tak bardzo mam nadzieję, że nie będę już musiał walczyć.”

Ale o północy stanął do walki i tym razem wiedział już, że jest bezcelowa. Przyszły całą hordą, a on dostrzegł tylko linię, kreślone w wodzie przez ich pletwy, i fosforescencję, kiedy rzuciły się na rybę. Tłukł pałką po głowach, słyszał kłapięcia szczęk, czuł drżenie łodzi, kiedy szarpały rybę od spodu. Walił rozpaczliwie we wszystko, co tylko mógł wymacać i usłyszeć, a potem uczuł, że coś chwyciło pałkę i wyrwało mu ją z ręki.

Wyszarpnął rumpel ze steru i zaczął grzmocić i rąbać trzymając go oburącz i młóćąc nim bez przerwy. Ale rekiny były teraz przy dziobie i nacierając kolejno lub wspólnie, darły kawały mięsa, które świeciło pod wodą, gdy zawracały do ponownego ataku.

W końcu jeden z nich podплыnął do głowy ryby i stary wiedział, że już jest po wszystkim. Zdzielił rekina rumplem w łeb, tam gdzie jego szczęki uwięzły w masywnej głowie, która nie chciała się oderwać. Uderzył raz, dwa razy i jeszcze raz. Usłyszał, że rumpel pęka, więc pchnął rekina strzaskanym trzonkiem. Uczuł, że go wbił, a wiedząc, że końce ma ostre, wepchnął go jeszcze głębiej. Rekin puścił rybę i cofnął się cięż-

żko. Był to ostatni rekin ze stada, jaki przypłynął.

Nie było już dla nich nic więcej do jedzenia..

Stary z trudnością chwycił oddech i czuł dziwny smak w ustach. Był on jakiś metaliczny i słodki i stary złąkł się na chwilę. Ale nie było tego wiele.

Splunął w morze i powiedział:

— Zjedzcie to sobie, *galanos*. I niech wam się przysni, żeście zabiły człowieka.

Wiedział, że jest pobity ostatecznie i bez ratunku; wrócił na rufę i stwierdził, iż strzaskany koniec rumpła na tyle pasuje w otwór steru, że da się nim sterować. Owinał workiem ramiona i wprowadził łódź na kurs. Płynęło mu się teraz lekko, opuściły go wszelkie myśli i uczucia. Miał już wszystko za sobą i kierował łodzią, ażeby jak najlepiej i jak najmądrzej dopłynąć do macierzystego portu.

W nocy rekiny zaatakowały szkielec jak ktoś, kto zbiera okruchy ze stołu. Stary nie zwracał na to uwagi: nie zwracał uwagi na nic prócz sterowania. Zaobserwował tylko, jak lekko i dobrze żeglują łódź teraz, kiedy nie zwisa przy niej wielki ciężar.

„Dobra ona jest — myślał. — Cała i nie uszkodzona z wyjątkiem rumpła. A ten łatwo zastąpić.”

Czuł, że już znalazł się w prądzie, i wzdłuż brzegu dostrzegł światła osiedli nadmorskich. Wiedział, gdzie teraz jest: łatwo już było powrócić do domu.

„Wiatr to w każdym razie nasz przyjaciel!” — pomyślał. A potem dodał: „Czasem. I to wielkie morze, razem z naszymi przyjaciółmi i wrogami. I łódźko — pomyślał. — Łódźko jest moim przyjacielem. Nie ma jak łódźko. W łódźku będzie wspólniale. Jakoś źleż człowiekowi, kiedy jest poko-

nany. Nie miałem pojęcia, że tak lekko. I cóż cię pokonało?" — pomyślał.

— Nic — odpowiedział głośno. — Wyplłynąłem za daleko.

Kiedy znalazł się w małej przystani, światła Tarasu były pogaszone, wiedział więc, że wszyscy już leżą w łózkach. Wiatr wznagał się cagle i dał teraz silnie. W przystani było jednak cicho; podpłynął do niewielkiego żwirowiska pod skałami. Nie było nikogo, kto by mu pomógł, więc wepchnął łódź na brzeg najdalej, jak zdołał. Potem wysiadł i przymocował ją do skały.

Wyjął maszt, zwinął żagiel i obwiązał go. Następnie zarzucił maszt na ramię i zaczął wspinać się na brzeg. Wtedy to uświadomił sobie całą głębię swojego zmęczenia. Przystanął na chwilę, obejrzał się i w odłasku latarni ulicznych zobaczył olbrzymi ogon ryby wystający nad wodę za rufą łodzi. Ujrzał białą, nagą linię kregosłupa i ciemną masę łba ze sterzącym mieczem, i całą tę nagość pośrodku.

Zaczął się wspinać znowu, na górze upadł i przeleżał jakiś czas z masztem na ramieniu. Usiłował się podnieść. Było to jednak zbyt trudne, więc siedział tam, trzymając maszt na ramieniu, i patrzył na drogę. Po drugiej stronie przeszedł kot podążając za swoimi sprawami i stary obserwował go. Potem przyglądał się po prostu drodze.

Wreszcie odłożył maszt i wstał. Dźwignął go, zarzucił na ramię i ruszył drogą. Musiał siadać pięć razy, nim dotarł do swojej chaty.

W chacie oparł maszt o ścianę. Odszukał po cieniu butelkę z wodą i napił się trochę. Potem położył się na łóżku. Nasunął koc na ramiona, otulił nim plecy i nogi i zasnął na gazetach twardą do dołu, z wyciągniętymi rękami i dłońmi odwróconymi wewnątrzną stroną do góry.

Spał jeszcze kiedy chłopiec zajrzał rano, przez

drzwi. Dęło tak mocno, że dryfujące łodzie nie wypływały na morze, więc chłopiec spał do późna, a potem przyszedł do chaty starego, tak jak przychodził co rano. Zobaczył, że stary oddycha, a potem zauważył jego ręce i zaczął płakać. Wyszedł cicho po kawę i przez całą drogę płakał.

Liczni rybacy otaczali łódź oglądając to, co było do niej przymocowane, a jeden podwinąłwszy spodnie stał w wodzie i mierzył szkielet kawałkiem liny.

Chłopiec nie zszedł na dół. Był tu już przedtem i jeden z rybaków pilnował za niego łodzi

— Jak on się czuje? — zawołał któryś z ludzi.
— Spił — odkrzyknął chłopiec. Nie dbał o to, że widzą jego łzy. — Niech mu nikt nie przeszkadza.

— Osiemnaście stóp od nosa do ogona — zawołał rybak, który mierzył marlina.

— Wierzę — odrzekł chłopiec.

Wszedł na Taras i poprosił o blaszankę kawy.
— Żeby była gorąca i proszę dać dużo mleka i cukru.

— Coś więcej?
— Nic. Później zobaczę, co będzie mógł zjeść.

— Cóż to była za ryba — powiedział właściciel kawiarni. — Jeszcze nikt takiej nie widział. Ale i ty zловіłeś wczoraj dwie ładne.

— Do diabła z moimi rybami — odparł chłopiec i zaczął płakać znowu.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytał właściciel.

— Nie — odparł chłopiec. — Niech pan im powie, żeby nie przeszkadzali Santiago. Zaraz wrócę.

— Powiedz mu, że bardzo mi przykro.

— Dziękuję — odrzekł chłopiec.

Zaniósł blaszankę gorącej kawy do chaty starego i został tam, póki ten się nie obudził. Raz

wydało się już, że stary się budzi. Ale znów zapadł w ciężki sen, więc chłopiec poszedł ^{naprzeciw} wko pożyczyc trochę drzewa, żeby podgrzać ^{ka-}wę.

Wreszcie stary się ocknął.

— Nie wstawaj — powiedział chłopiec. — Wy-
pij to. — Nalał kawy do szklanki.

Stary wziął ją i wypił.

— Pobily mnie, Manolin — powiedział. — Po-
bily mnie zupełnie.

— On cię nie pobit. Ten marlin.

— Nie. Prawda. To było dopiero później.

— Pedrico pilnuje łodzi i sprzętu. Co zrobic
z głową?

— Niech ją Pedrico porąbie, przyda się do wię-
cierzy.

— A miecz?

— Zatrzymaj go sobie, jeżeli chcesz.

— Chcę — powiedział chłopiec. — Teraz musi-
my naradzić się co do innych rzeczy.

— Szukali mnie?

— Jasne. Straz nadbrzeżna i samoloty.

— Ocean jest bardzo wielki, a łódka mała i tru-
dno ją dojrzeć. — Zauważył, jak miło jest mieć
z kim rozmawiać zamiast mówić tylko do siebie
i do morza. — Brak mi ciebie było. Co złowi-
łeś?

— Jedną pierwszego dnia. Jedną drugiego
i dwie trzeciego.

— Doskonale.

— Teraz będziemy łowić razem.

— Nie. Ja nie mam szczęścia. Już teraz nie
mam szczęścia.

— Do diabła ze szczęściem — rzekł chłopiec. —

Szczęście przyniosę ze sobą.

— A co powie twoja rodzina?

— Wszystko mi jedno. Wczoraj złapałem dwie

sztuki. Ale teraz będziemy łowili razem, bo jeszcze
muszę się dużo nauczyć.

— Musimy zdobyć dobrą lancę do zabijania ryb
i zawsze mieć ją w łodzi. Grot można zrobić z pió-
ra resoru starego forda. Możemy go wyostrzyć
w Guanabacoa. Powinien być ostry i tak harto-
wany, żeby się nie zlamał. Mój nóż pękł.

— Przyniosę ci inny i dam resor do wyostrze-
nia. Ile jeszcze mamy dni silnego wiatru?

— Może trzy, może więcej.

— Doprowadzę wszystko do porządku — po-
wiedział chłopiec. — A ty wylecz sobie ręce, sta-

ruszku.

— Już ja wiem, jak się nimi zaopiekować. W no-
cy vyplulem coś dziwnego i miałem takie uczucie,

jakbym mi coś trzasło w piersiach. — Położ
— Wylecz i to — rzekł chłopiec. — I coś

się, stary, a ja ci przyniosę czystą koszulę. I coś
do zjedzenia.

— Przynieś mi jakieś gazety z tych dni, kiedy
mnie nie było — powiedział stary.

— Musisz przede wszystkim wydobrzeć, bo dużo jest rze-
czy, które powinienem poznać, a ty potrafisz na-
uczyć mnie wszystkiego. Bardzo cierpiełaś?

— O, bardzo — odparł stary.

— Przyniosę jedzenie i gazety — powiedział
chłopiec. — Wypocznij dobrze, starszszku. Wezmę
z apteki coś na twoje ręce.

— Nie zapomnij powiedzieć Pedricowi, że gło-
wa jest dla niego.

— Dobrze. Będę pamiętał.

Kiedy chłopiec, wyszedłszy za próg, ruszył dro-
gą po starych skałach koralowych, rozpląkał się
znowu.

Tego popołudnia na Tarasie siedziała grupka
turystów. Jedna z kobiet, patrząc na wodę, zo-
baczyła między pustymi puszkami po piwie i mar-
tywnymi baracudami długie, białe szkielec zakoń-

czony ogromnym ogonem, który dźwigał się i kołysał na falach przyplywu, gdy wschodni wiatr wzdymał ciężko morze za wejściem do przystani.

— Co to takiego? — zapytała kelnera wskazując długi szkielec wielkiej ryby, który był teraz już tylko odpadkiem czekającym, by zabrał go odplyw.

— Tiburon — odpowiedział kelner. — To rekiny... — Zamierzał wyjaśnić, co się zdarzyło.

— Nie wiedziałam, że rekiny mają takie śliczne, pięknie ukształtowane ogony.

— Ja też nie wiedziałam — rzekł jej towarzyszący. — Przy drodze, w chacie, stary rybak spał znów. Spał wciąż na brzuchu, a chłopiec siedział obok i wpatrywał się w niego. Staremu śniły się lwy.